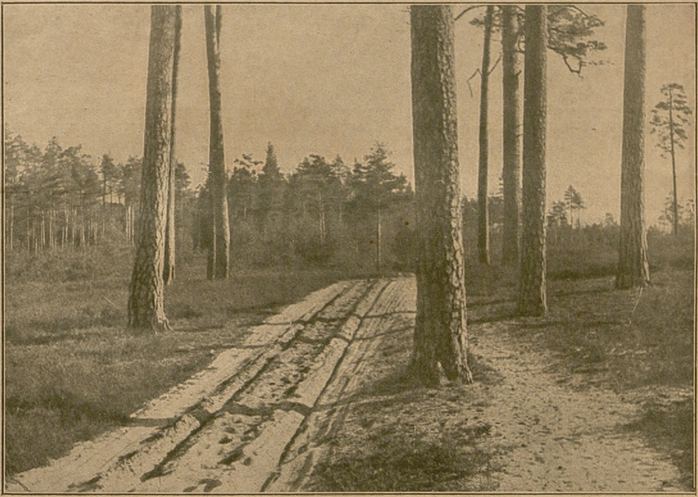
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Motyw z Puszczy Rudnickiej. Fot. W. Korsak.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 33 (773) 20 LISTOPADA 1934 R.



Jelenie w Parku Richmond w Ameryce Półn. (Keystone).

WALCZMY Z ANALFABETYZMEM!

Żyjemy w miesiącu, poświęconym propagandzie na rzecz walki z analfabetyzmem. Społeczeństwo polskie prawdopodobnie w tym momencie dopiero dowiedziało się, że posiadamy jeszcze aż 6 miljonów analfabetów — wśród dorosłych i dorastających, to jest tej części ludności kraju, której powszechne nauczanie w odrodzonej ojczyźnie nie mogło już objąć, siłą rzeczy pozostawiając narazie na uboczu, z ciemną opaską na oczach umysłu i duszy, o długie mile oddalonych od najelementarniejszych zdobyczy cywilizacji i kultury.

Polska Macierz Szkolna zajęła się obecnie gorąco tą olbrzymią rzeszą ciemnych w narodzie, a akcja jej odbiła się głośnem echem w całem społeczeństwie, wynajdując i obierając najwłaściwsze i najdelikatniej dotykające wstydu dorosłego człowieka sposoby przyszłego nauczania całych mas.

Niewątpliwie wszyscy z czytelników „Łowca Polskiego" bacznie śledzą tę akcję, radują się ich serca i rosną nadzieje — niejeden sam akcji tej jest pionierem, lub przynajmniej poświęca jej własną pracę wykonawczą. I wierzymy już teraz, że większość z tych 6 miljonów nieszczęśliwych za rok — dwa — trzy przestanie być analfabetami. Jedni uczęszczać będą na kursy, na komplety, inni, najwrażliwsi w swym wstydzie, zdobędą światło „w cztery oczy" w „tajemnicy".

*

Gdy patrzę w tę lepszą przyszłość i gdy rodzi się we mnie pewność, że niedługo każdy, ubiegający się u nas, myśliwych, o zajęcie, kandydat na strażnika łowieckiego, polowego, czy gajowego, każdy „brodacz" i „wąsacz" z naganki, bal każdy najmizerniejszy Poleszuk potrafi czytać i pisać, że z każdym z nich będzie można się porozumieć drogą listową, że poziom umysłowy tej całej miłej i nieraz drogiej sercu myśliwskiemu rzeszy podniesie się naraz o wiele, wiele stopni — doznaję jakiejś dawno nie odczuwanej, cichej, ale głębokiej radości z osiągnięcia rzeczy dobrej, pożytecznej i koniecznej, a mimo tych prostych swych cech tak długo nieosiągalnej. I czuję się jakoś lekko, jasno i miło, jakbym szedł ze strzelbą na ramieniu w gorące, błękitno-złote popołudnie polskiej jesieni z obfitą zdobyczą — ku własnemu dachowi...

Lecz oto doszedłem już tam, wkraczam w znane progi, otaczają mnie stare ściany, wizerunki, pamiątki. Powoli zasnuwają myśl osobiste kłopoty i troski, wypływają ku mnie z okrywających się mrokiem ścian dawne niepowodzenia i ciężkie zawody.

Radość z bliskiej, szczęśliwej przyszłości sześciu miljonów braci maleje, kurczy się i znika — zastępuje ją gryzący smęt, codzienna przykrość i codzienny wstyd własnej niemocy.

Bo chociaż oto istotnie stoi koło mnie stara, „przedwojenna" strzelba, ulubione narzędzie mojego myślistwa i legła u moich nóg, obok rozłożonych troków z ptactwem, zdobytem wśród „babiego lata", najwierniejsza suczka, ludzkiem przezemnie nazwana imieniem Reny — zamiast przeżywać w tym nastroju ponownie dopieroco przebyte wrażenia i emocje — przychodzą mi na myśl rzeczy przykre. Rodzą się, Bóg wie skąd, porównania... rozważania... refleksje...

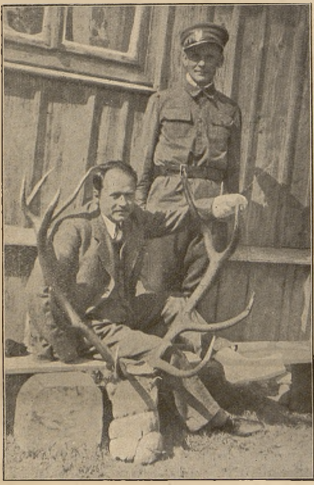
*

Sześć miljonów analfabetów wśród ludu polskiego to ogromny procent w stosunku do wszystkich mieszkańców naszego kraju: — blisko 20%. Od ich woli,

a także od woli współbraci zależy dziś wykreślenie ich z krzywdzącej sytuacji analfabetów.

„Kaganiec oświaty" dotrzeć więc może już dziś wszędzie...

Lecz czyż wszędzie tak prymitywnie pojęty, niosący pierwsze a — b — c wystarcza?



Pan Minister Marjan Zyndram-Kościałkowski ze swem tegorocznem trofeum, pięknym wieńcem czternastaka, zdobytym w Karpatach.

Prawda, że życie, jak mówią, samo uczy, lecz często zapóźno przyjść może doświadczenie. Po ten najważniejszy atut wszelkiej umiejętności każdy musi sięgać sam, iść mu naprzeciw i wyrywać go z otoczenia — przedewszystkiem w sposób najłatwiejszy — przez czytanie. Ono się staje więc po ukończeniu faktycznego wykształcenia główną dźwignią umysłów i skarbcem duchowej kultury.

*

Błysnęło mi w tym momencie nieuchronne zapytanie, czy w łowiectwie, które bezsprzecznie dziś już jest zarówno cząstką wiedzy ogólnej, jak i gałęzią gospodarczą w każdym kraju, wszystko jest pod tym względem u nas tak, jak należy?

Odpowiedź przyszła na myśl taka, że usprawiedliwiła całkowicie tę nagłą zmianę mego nastroju i omotanie szarym, codziennym smutkiem troski i prawdziwego wstydu.

Sądzę bowiem, że wstyd tych dorosłych analfabetów z pośród najniższych warstw ludności i postanowienie praktykowania nauki abecadła, to tylko odruch psychiczny ciemnego człowieka poprzez świadomość wielkości przyrody, którą poznał najlepiej. Ale te miljony nie posiadały środków i nie znajdowały sposobów dotarcia na wyższy poziom otaczającej ich kultury.

Natomiast mój wstyd narodził się z poznania błędów najbliższych mi upodobaniem ludzi, stojących niewątpliwie na rozmaitym poziomie tej kultury, jednakże świadomych swych czynów, swych pragnień i dążeń; ludzi, żyjących według pewnego nakreślonego sobie programu.

Czemu jednakże miałbym się wstydzić za wielu? Widać brać w św. Hubercie stanowi odrębne społeczeństwo, ściśle z sobą psychicznie złączone, niezależnie od różnych celów życia jednostek, z których się ono składa i niezależnie od gatunków ich umysłowości.

Lecz skoro myślistwo jest im wspólne, skoro przez nie właśnie umiłowanie przyrody jest w nich powszechne, skoro wrażenia i emocje zeń czerpane są jednakie, to czemu spotyka się w tem społeczeństwie tak bardzo wiele lekceważenia dla wiedzy łowieckiej? Czemu tak obce mu jest piśmiennictwo i literatura fachowa? I wreszcie dlaczego tak uparcie niezrozumiałą jest doniosłość jednolitej konsolidacji, osiągalnej z łatwością zapomocą wspólnej organizacji łowieckiej?

Wygląda to, jakby nie zdawali sobie zupełnie sprawy z tego, czem dla nich jest łowiectwo i jak należy się doń odnosić, aby je wzmocnić, doprowadzić do szczytu rozwoju. Wygląda to, jakby zupełny analfabetyzm zakrył przed nimi stamtąd czerpane rozliczne korzyści, jakby nie pozwolił wyjść poza prymitywne akty woli i pożądania ludzkiego zwierzęcia: zdobywania z bronią w ręku mięsa — i nic ponadto.

Przypuśćmy, że wielu wśród polskich myśliwych — bowiem pasja łowiecka nie jest przywilejem jedynie klas wyższych — należy do owych sześciu miljonów analfabetów litery; przypuśćmy dalej, że większość — to ludzie o zupełnie niewyrobionym intelekcie, którym jedynie to abecadło wystarcza do już realizowanego programu ich życia. Dajmy na to, że na 50.000 myśliwych naszych połowa do tych dwóch grup należy. Lecz gdzież tedy reszta?! Nie widać jej ani w Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich, ani wśród czytelników piśmiennictwa łowieckiego.

A wszakże to takie jasne, że gdybyśmy tam wszyscy myśliwi byli, to rozwój naszego fachowego piśmiennictwa i naszej siły organizacyjnej prawie cuda mógłby tworzyć w dziedzinie łowiectwa na doskonałych, najbardziej odpowiednich terenach polskich lasów, pól, wód i błot — wspaniałych ostoi zwierzyny.

Dziś, zarabiając ogólnie mniej, narzekamy na drożyznę w każdej dziedzinie, automatycznie to przenosząc i na możność korzystania z piśmiennictwa i literatury łowieckiej, na rozszerzanie siły organizacyjnej własnej, a nie chcemy zrozumieć, że w wielkiej liczbie zrzeszeni i w wielkiej liczbie czytający, ustawicznie podnosilibyśmy ogólny poziom kultury łowieckiej, płacąc za świadomość spełnienia swego obowiązku i za przyszłe bogate owoce, jakieby to przyniosło już w najbliższej, bezpośredniej przyszłości, formalnie tylko grosze.

Czy wobec wspaniałych liczebnie organizacyj łowieckich takich najbliższych nam narodów, jak Czesi, Austrjacy, Niemcy, Węgrzy, Bułgarzy, Rumuni i tak dalej, czyż wobec dziesiątków i setek tysięcy prenumeratorów fachowych organów łowieckich w tych krajach — gdzie organ taki otrzymują członkowie ogólnokrajowego zrzeszenia w sumie swej składki członkowskiej (np. w Czechach) — nie wstyd Ci własnowolnie nieopuszczanych nizin, polski myśliwcze? Czyż zawsze chcesz tylko spożywać owoce, zrywane dla polskiego łowiectwa przez garść poświęcających mu swą pracę, niezmierny leniwcze myśli i ducha? Czyż własną kulturę mierzyć chcesz tylko na wydane złote?

A cóż w takim razie powie Ci prawdziwy rachunek każdego roku w zakresie wydatków na zadowalnianie Twej pasji myśliwskiej? Jak porównać nawet te sumy, które wydajesz na bezpośrednią przyjemność polowania, na odpoczynek nerwów pośród śpiewającej przyrody—z najdrobniejszym, jakiby byłby w tym budżecie, wydatkiem na Twoje zlekceważone duchowe potrzeby? Czyż o nich nie powiedziała Ci nigdy ta

właśnie przyroda, w której ogromie koisz Twe walką z życiem utrudzone nerwy, uciekając doń z Twą pasją myśliwską po wrażenia i trofea? Czyż potrafisz jedynie obliczać realną wartość upolowanej zwierzyny?.. I nic więcej Ci nie potrzeba?

Rozmyślania moje przerwała mi Rena: trąciła mnie nosem w rękę i położyła głowę na moich kolanach.

Zmierzch dawno się już w noc zupełną zamienił. Wydawała mi się tak czarna, jak noc naszego świata łowieckiego.

Teraz wiedziałem co mi zmąciło radość ze świetnie zapowiadającej się akcji Polskiej Macierzy Szkolnej w walce z analfabetyzmem.

I teraz wiedziałem czego się wstydzę za wielu.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

CZASY OCHRONNE A KARTY ŁOWIECKIE.

W świetnym artykule p. t. „Przed myśliwskim sezonem" („Łowiec Polski" Nr. 29) p. Władysław Zabiełło dotknął mimochodem kwestji, zdaniem mojem, bardzo doniosłej. Przytoczył On głos typowy przeciętnego myśliwca, oskarżonego o brak wstrzemięźliwości przy respektowaniu ustawowych terminów ochronnych. „Karty łowieckie wprowadzają w błąd" — taki oto ciężki zarzut postawił ten myśliwiec władzom naszym i — pośrednio — organizacjom łowieckim.

Nad zarzutem tym warto zastanowić się głębiej. Obracając się osobiście prawie wyłącznie w gronie myśliwych inteligentnych, z zarzutem tym spotykam się na każdym kroku. W miesiącach lipcu (kaczki) i październiku (zające) nie mogę dosłownie chodzić spokojnie po ulicach Wilna, będąc stale zaczepianym przez szereg bliższych i dalszych znajomych, którzy zwracają się do mnie ze stereotypowem zapytaniem: od kiedy polujemy? A trzeba wiedzieć, że osobiście pilnuję, by organy prasy wileńskiej regularnie i zawczasu informowały swych czytelników o obowiązujących terminach ochronnych. To samo czyni z mojej inicjatywy rozgłośnia wileńska Polskiego Radja. Również dokładam starań, by policja informowała zawczasu właścicieli jadłodajni oraz w s z y s t k i c h m y ś l i w y c h o obowiązujących czasach ochronnych. A jednak pomimo tych wszystkich starań nie mam spokoju w lipcu i październiku, gdyż nawet w biurze telefon odrywa mnie od pracy i brzmi ze słuchawki pytanie: od kiedy polujemy?..

Z powyższego wynika, że bardzo nawet natężona propaganda w prasie i przez radjo niedostatecznie jeszcze uświadamia myśliwych inteligentnych. A cóż wobec tego dzieje się wśród myśliwców nieinteligentnych, rozsianych po zapadłych kątach, gdzie gazeta nie dociera, lub — co gorsza — mieszka myśliwy, który czytać nie umie?

Niedawno pewien myśliwy miejski, zajmujący dość wysokie stanowisko w hierarchji społecznej, tak mi powiedział: — W karcie łowieckiej wydrukowano, że czas ochronny dla zajęcy kończy się 30 września, w białym druczku, które mi dało Starostwo, że 20 października, a pan mi mówi, że 31 października... komu mam wierzyć?... Panu temu powiedziałem, że gdyby prenumerował i stale czytał „Łowca Polskiego", toby się dowiedział o aktualnych czasach ochronnych. Zawstydził się trochę, ale — „Łowca Polskiego" nie zaabonował.

Przyjęta u nas zasada prawnicza głosi, że nieznajomością prawa nikt się zasłaniać nie może. Z drugiej strony bezwątpienia myśliwi inteligentni, nieczytający fachowej prasy łowieckiej, godni są najostrzejszego potępienia. Musimy się jednak liczyć z życiem realnem. Jeden ze znanych prawników francuskich wyraził się kiedyś w te słowa: „w życiu wszystko dzieje się tak, jakby ustaw nie było"... Liczyć się musimy z faktem, że poza gronem prawników i urzędników nikt „Dziennika ustaw" nie czyta. Również nie możemy nikogo zmusić — narazie przynajmniej — do prenumerowania „Łowca Polskiego". M u s i m y z a t e m w y n a l e ź ć ś r o d k i, b y p r z e p i s y, z m i e n i a j ą c e u s t a w o w e t e r m i n y o c h r o n n e, n a p r a w d ę p r z e d o s t a w a ł y s i ę z a w c z a s u d o ś w i a d o m o ś c i s z e r o k i e g o o g ó ł u m y ś l i w y c h.

W sprawie czasów ochronnych ścierały się czas jakiś w opinji sfer łowieckich dwie zasady: zasada sztywności i powszechności czasów ochronnych oraz zasada elastyczności i regjonalności tych czasów. Jak wiemy — zwyciężyła ta druga zasada. Wiemy też, że przyszłe znowelizowane prawo łowieckie jeszcze bardziej pogłębi i rozszerzy zasadę elastyczności czasów ochronnych. W tym stanie rzeczy karta łowiecka, która wszak jest dokumentem publicznym, zawsze będzie zawierała nieprawdziwe dane o czasach ochronnych. Rozmówca p. Zabiełły, mówiący, że „karty łowieckie wprowadzają w błąd", miał, niestety, 100% racji.

Druki z aktualnemi czasami ochronnemi, dodawane przez starostów do kart łowieckich z inicjatywy Związku, spełniają swą pożyteczną rolę w najlepszym razie połowicznie. Główną ich wadą jest pobieranie opłaty, do której w obecnym stanie prawnym nikogo zmusić nie możemy. Toteż znam powiaty, w których zaledwie 20% posiadaczy kart łowieckich zaopatrzyło się w te druki.

Jako wyjście z sytuacji proponuję poniższy projekt, jako materjał do dyskusji.

1. Ministerstwo Rolnictwa i R. R. będzie ogłaszało dodatkowe rozporządzenia o zmianie czasów ochronnych wyłącznie w ściśle oznaczonym okresie np. w styczniu, t. j. conajmniej na miesiąc przed początkiem roku łowieckiego (1.III). W ten sposób myśliwi i organizacje łowieckie będą wiedzieć, że w innym okresie żadne zmiany nie nastąpią. Wyjątek od tej zasady mógłby mieć miejsce tylko w nadzwyczajnych wypadkach (np. z racji jakiejś klęski żywiołowej, epizootji i t. p.).

2. Oddziały Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich przy poparciu finansowem Centrali (a to wobec notorycznie mizernych budżetów oddziałów) wygotują i roześlą starostwom na dzień 1 marca odpowiedni zapas druczków z aktualnemi czasami ochronnemi na następny rok łowiecki. Druczki te będą rozdane posiadaczom kart łowieckich b e z p ł a t n i e... Druczki będą wklejane do kart łowieckich do wewnątrz i, jako chronione przez sztywny papier kart łowieckich, mogą być drukowane na najtańszym papierze, dzięki czemu koszt tych druczków byłby znikomy.

3. Zostanie wydany nowy wzór karty łowieckiej, z którego t e k s t a r t. 48—50 p r a w a ł o w i e c k i e g o z o s t a n i e w o g ó l e u s u n i ę t y. Zamiast tego tekstu proponowałbym umieszczenie uwagi tej np. treści: „czasy ochronne dla poszczególnych gatunków zwierzyny (lub jeszcze lepiej: czasy dozwolonego polowania na poszczególne gatunki zwierzyny) umieszczone są na osobnym druku, dołączonym do niniejszej karty".

Gdyby projekt mój zyskał aprobatę Związku, radziłbym wprowadzić go w życie stopniowo, lecz do częściowej jego realizacji przystąpić już zaraz. Tak np. należałoby już teraz postarać się o wstrzymanie zamawiania druku kart łowieckich według dzisiejszego wzoru, a także by wydawanie kart łowieckich nowego wzoru rozpocząć już od dnia 1 marca 1935 r.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

POLOWANIE NA PTACTWO PRZELOTNE NA WYBRZEŻACH FRANCJI.

W blaskach miljona świateł kąpie się kasyno w Deauville. Lśniące auta suną cicho dokoła, cygańska orkiestra i jazz hiszpańsko-murzyński prześcigają się w rozlewnych melodjach, a w sali gry krótkie, urywane zawołania stanowią o szczęściu i pechu grających.

Piękna pani szuka miejsca, wśród stukotu płaskich plak 1000 frankowych, które z zadziwiającą szybkością grupują się w wysokie kolumny, poto tylko, żeby wkrótce rozlecieć się znowu w wirze nowych uderzeń.

Piękna pani patrzy i powoli wzrok jej się rozpala, rozchylają się usta, pierś faluje szybciej i oczy biegają za lśnieniem wirujących po stole plak...

*

O kilkadziesiąt kilometrów stamtąd dzikie, puste wybrzeże morza. Tak puste i tak dzikie, że uwierzyć się nie chce, stojąc na piasku, nad rozlewem zielonej fali, że się nie jest o setki mil od wszystkiego, co się cywilizowanym światem nazywa. Między miasteczkami Isigny i Carentan, z szerokiej *„route nationale"* zbacza ku morzu droga, gubiąca się wśród małych futorów, otoczonych żywopłotem z zieleni, gdzie wśród tłustych łąk o przepysznej, bujnej trawie, pasą się krowy, dające sławne na świat cały masło i śmietanę. Droga ta wypada wkrótce na coraz dziksze tereny i nagle rozpływa się w piasku olbrzymiej, szerokiej plaży, porośniętej gdzieniegdzie wysoką, ostrą trawą i silnie kolącemi bodiakami.



Z polowań na przelotach we Francji. Przygotowywanie stanowiska.

Ta szeroka wydma idzie daleko w morze, które przy codziennym przypływie tworzy wysepki dorywcze, daleko od brzegu, na których miljony ptaków oczekują spokojnie odpływu, pozostawiającego mnóstwo żyjątek morskich, robaków, małżów i drobnych rybek, stanowiących doskonałe i pewne pożywienie.

Niezbadaną i zaiste tajemniczą jest siła, która każe ptakom wykonywać perjodyczne wędrówki, niedające się ująć, pomimo usilnych badań, w dokładne i systematyczne okresy. Nie chcę zupełnie tej kwestji na tem miejscu dotykać, chcę poprostu dać czytelnikom „Łowca Pol." opis trzech rodzajów polowania, jakie się na północnych wybrzeżach Francji uprawia i w których często biorę czynny udział.

Niektóre z nich uderzą z pewnością polskiego myśliwego swoją osobliwością i niejeden zarzuci im brak sportowości; należy jednak w tej ocenie liczyć się z odwiecznemi zwyczajami, uświęconemi tradycją danego kraju. Dość przypomnieć, że w Anglji np. zabicie lisa śrutem czy kulą jest uważane za grube wykroczenie myśliwskie, a we Francji wszelkie strzały na tokach (jest ich ogromnie mało) są uważane za kłusownictwo!

Uprzedzam, że korespondencję tę traktuję z punktu widzenia myśliwskiego, nie zaś ornitologicznego. Trzebaby bowiem być wykwalifikowanym specjalistą, żeby módz dokładnie poinformować czytelników o tej bajecznej ptasiej faunie, z którą się tu ma do czynienia! Najlepiej objaśnię przykładem: dn. 26 stycznia 1930 r. na rannych przelotach zabiliśmy we dwóch 174 sztuki, śród których znajdowało się 19 gatunków, wzgl. odmian! Ale wróćmy do rzeczy. Z trzech rodzajów wspomnianego polowania należy rozróżnić:

1) polowanie w jamach z piasku, t. zw. „aux trous".
2) polowanie w punt'cie,
3) polowanie w „gabionach".

Pierwsze jest najprostszem, o tyle, że wymaga tylko odpowiedniego miejsca i normalnej broni: miejsca, na którem przelotne ptactwo odbywa swoje uczty i siesty; broni, zwyczajnych strzelb, przyczem w najczęstszem użyciu są Browningi lub Winchestery, ze względu na ich ogromne działanie na mniejwięcej duże i zbite stadka. O tem też polowaniu chcę dziś parę słów powiedzieć.

Charakterystyczną jego cechą jest, że może trwać cały rok, kiedy tylko, zależnie od zgóry przewidzianych epok, nadchodzi miesięczny duży przypływ morza, t. zw. *grande marée*. Wówczas, przy silnem podniesieniu poziomu wody, powoli wszystkie wywyższenia i wysepki piasczystej wydmy stają pod wodą, która tem samem spędza z nich siedzące ptactwo. Olbrzymie jego stada zrywają się wtedy i lecą wzdłuż postępującej fali, coraz bliżej lądu. Stada te krzyżują się tak na przestrzeni kilku kilometrów i lot ten trwa tak długo, aż morze nie cofnie się z powrotem i nie odkryje znowu miejsc, przez ptactwo upodobanych. Trwa to zwykle od trzech do pięciu godzin.

Ogromna ferma jednego z moich przyjaciół*) stoi nieopodal sławnej na całą La Manche wydmy, zwanej *„La Grande Dune"*. Dookoła rozciągają się znamienite *„prés salés"*, na których pasą się stada baranów, dających owe świetne *„gigots"* i doskonałe kotlety!

Tego wieczora czekał nas jeden z najsilniejszych przypływów, oznaczonych na 80°. Dzień był upalny, a pod wieczór podniósł się wiatr. Taki przypływ, jedno z misterjów natury, łączące się zresztą ściśle z fazami księżyca, działa często bardzo przygnębiająco na wrażliwe i nerwowe natury. Idziemy we trójkę zająć najlepsze miejsca, począwszy od krańca wydmy, wyniesionego dość wysoko, co jednak nie przeszkadza, że w chwili najwyższego stanu wody stoi się w niej czasem do pół kolan, czekając aż morze się cofnie. Każdy niesie, prócz broni i zapasu nabojów, dużą łopatę i kilka krótkich desek. Jako ubranie króciutkie *shorty* i sportowa koszula. Rzecz prosta, że ubranie ulega modyfikacjom stosownie do zmiany aury. Obieramy stanowiska o kilkadziesiąt metrów jeden od drugiego, czasem więcej, zależnie od ilości myśliwych i natychmiast każdy zabiera się do pracy. A praca to nielada, bo trzeba wykopać jamę, głębokości conajmniej półtora metra i tak szeroką, by się w niej wygodnie z psem obrócić można. Szybko umocowuje się deseczki, jedną na naboje, jak najwyżej, drugą na siedzenie, przyczem jakiś kij poprzeczny dla oparcia strzelb. Wtedy trzeba się zająć wabikami: są to ciężkie, że-

---

*) Pana Hettier de Boislambert'a.

lazne ptaki, doskonale naśladujące naturę, które zapomocą długich, metalowych kijów wtyka się o kilkanaście metrów przed sobą, tworząc grupkę od pięciu do piętnastu sztuk doskonale naśladujących stadko kulonów czy bataljonów.



Przed stanowiskiem myśliwych manekiny, imitujące stadko bataljonów.

Otóż i przygotowania skończone i teraz chodzi tylko o to, żeby przedewszystkiem jak najmniej się pokazywać, a następnie umieć wabić świstem ukazujące się z odległości stada ptaków. Jest wprost rzeczą nie do uwierzenia, jak ogromne ma to znaczenie na rezultat polowania. Nieumiejący świstać zabijają od 30 do 50% mniej, niż ci, którzy ten kunszt posiadają. Oczywiście przy fałszywem wabieniu rezultat jest wprost odwrotny i z wściekłością widzi się zawracające daleko od strzału ptaki, a przyznać muszę, że dużo czasu upłynęło, nim się jako tako wabić nauczyłem. Pozatem i strzały są nadzwyczaj trudne, a trudność ta polega na ogromnem rozpięciu skali lotu ptaków. Jedne lecą czasem jak wrony, inne, zwłaszcza kaczki i niektóre odmiany bekasów, migają tak, że „zakłady" wprost nie do uwierzenia nie dają jeszcze pożądanych rezultatów.

Cudowna jest chwila wyczekiwania: ogromny krąg słońca chyli się coraz niżej, w coraz więcej purpurowo-złotym blasku, a w dali perli się, burzy i huczy wełniste morze i w głuchym poszumie coraz dalsze kręgi srebrem zalewa...

Już przylatują pojedyncze bekasiki; to tu, to tam bucha strzał i widać jak zwinne psy wyskakują z jam, żeby jak najprędzej z łupem do nich powrócić! Teraz już coraz częściej pojawiają się stada... po trzy, po cztery strzały, raz po raz, czasem cały zapas Browninga wyładowuje się odrazu, kiedy zwabione świstem stado spada między metalowe ptaki! Migają kszyki, jak kule, lecą pierwsze cyranki, ważą się ostrożne kulony, z piskiem zawracają sroki morskie i takie tego mnóstwo, że doprawdy chwilami nie wie się, czy strzelać, czy nabijać, czy wyskakiwać po zabite sztuki, bo pies sobie rady dać nie może, a fala zabiera postrzałki coraz dalej!! A tymczasem morze podchodzi nieubłaganie i zaczyna już wlewać się do jamy; powoli woda dochodzi do kolan, do pasa, już trzeba naboje zabierać i rad nie rad wyłazić. To już bardzo nieprzyjemna chwila, zwłaszcza dla nas, stepowych ludzi, na podolskiem płaskowzgórzu wyrosłych, kiedy się dookoła nic już innego nie widzi, jak wodę, wodę i wodę i słyszy ten szum charakterystyczny, który tak na nerwy działa! Co przytem ogromnie przeszkadza, to duża ilość mew najrozmaitszego gatunku; bez przerwy latają z ogłuszającym wrzaskiem, a są niektóre gatunki, latające zupełnie jak małe bekasiki i mylące często myśliwego, zwłaszcza po zachodzie słońca, kiedy oczy już są zmęczone i oślepione pyłem piasku, którym wiatr miecie bezustanku.

Przyznać muszę, że nie znam polowania, w którem trudność strzałów miałaby tak ogromne rozpięcie: widziałem nieraz stadko z kilkudziesięciu sztuk, nalatujące zresztą bardzo szybko na jamę, w której siedziało dwóch myśliwych z browningami. Otóż po wyładowaniu dwóch browningów, osypało się stadko, jak jesienne liście, tak że zaledwie 3 czy 4 sztuki poleciały dalej. Ale zato są i strzały piekielnie trudne, kiedy taki pojedyńczy ptak leci z wiatrem i kluczy, jak piorun!

Przy dobrem strzelaniu i normalnym przelocie trzeba liczyć od 100 do 120 sztuk przeciętnie na myśliwego w jeden wieczór lub poranek. Gdyby nie trudność zbierania zwierzyny, możnaby śmiało liczyć podwójnie. Ilość ptactwa, zwłaszcza w miesiącach zimowych, jest tak wielką, że przy dużych latarniach morskich zbierają co rana całe wory ptaków, które, przyciągnięte migającym blaskiem, z lotu rozbijają się o grube ściany szklane olbrzymich soczewek. Toteż kiedy się widzi te miljonowe rzesze porywających się ptaków, łatwo zdać sobie sprawę z tego, że polowanie, z największej nawet morderczą bronią, minimalny wyłom robi w ich ilości. Mówię to dla obrony broni automatycznej, przeciw której wielu powstaje; sam jednak nigdy jej nie używam.

...Tymczasem robi się coraz ciemniej; słońce dawno już zaszło, — srebrna Selene mdłem światłem wygładza fale, coraz spokojniej wracające w dawne łożysko...

Ładujemy zdobycz wieczorną w wory i siatki, strzelby przez ramiona, łopaty na plecy, i ciągle jeszcze morskim zalewem, sięgającym powyżej kostek, wracamy na światła błyszczące w fermie.

Fluorescencja wody jest tak silną, że każdy krok nasz w wodzie rozpala cały snop złotych iskier, które się powoli za śladem naszym rozpływają.



Uwaga! Przelot już się rozpoczął...

Cudnym wydaje się świat, zapomina się o kryzysie, pełną piersią wdycha się czerstwe, słone powietrze, którem nikt dokoła nie oddychał.

...A tymczasem, o kilkadziesiąt kilometrów od nas grzmią jazz'e w Deauville i piękna pani wyciąga drżącą rękę z tysiącfrankową plaką...

Trzeba, by każdy miał swoją emocję!!

JAN z KOŚCIELCA-POGORSKI.



Z polowań Otwockiego Kółka Prawidłowego Myślistwa.

JESIENNY OBRAZEK.

Szybkiemi krokami zbliża się jesień, ranki i wieczory coraz to chłodniejsze, minęły gorące dni letnie. Drzewa ślą ziemi złoty deszcz liści, zmieniają się głosy i widoki natury. Myśliwy rusza w knieje.

Las drzemie w jesiennym śnie, bezszelestnie spadają z konarów drzew pożółkłe liście na szarozielony kobierzec mchów i paproci. Długie nici babiego lata srebrzą się w powietrzu ponad kępami kwitnącego wrzosu i karłowatemi sosenkami. Cisza panuje wokoło, tylko na polanie szemrze strumyk i drżą liście osiki, a czasem pracowita pszczółka zabrzęczy nad ukwieconem wrzosowiskiem.

Witem lekki powiew z za lasu przyniósł odgłos dalekiego wystrzału, jednego, a potem drugiego i trzeciego. Cisza prysła. Nad lasem przeleciał ukośnie jastrząb i słonka cichym lotem między brzózkami. Z małego zagajnika wyszła strwożona koza i, nastawiając łyżki na wiatr, lekkiemi skokami poczęła się oddalać. Aż oto nowy mieszkaniec lasu, lis, wychylił swój trójkątny łeb z pod wielkiego krzaka jeżyn i zniknął, znać zwietrzył niebezpieczeństwo. Strzały słychać coraz bliżej. W pobliskim ostępie odbywa się polowanie na bażanty.

Widać myśliwych rzędem rozstawionych na leśnym dukcie, przed niewielkim zagajnikiem. Co chwila jeden z nich podnosi strzelbę do policzka, bucha strzał i cudnie opierzony bażant zatacza w powietrzu łuk, spadając. Naganka zbliża się do linji myśliwych, strzały są coraz liczniejsze, bażanty rwą się na wszystkie strony. Strzelają w górę w bukietach, niczem race kolorowe, mieniąc się cudną grą barwnych piór. Powietrze wibruje od uderzeń skrzydeł, a myśliwi, rozgorączkowani licznemi strzałami, miotają się z szybkością jakiejś straszliwej maszyny, siejąc strach i zagładę wśród bażanciego rodu. Nagle silniejszy niż dotąd wrzask targnął powietrzem, kilka naganiaczy krzyknęło równocześnie—„słonka, słonka!" Po myśliwych przeszła jakby iskra elektryczna. Każdy zapragnął, by jemu przypadła w udziale ta rzadka przyjemność zabicia owego tajemniczego ptaka. Chwiejnym lotem zbliżała się nad stanowisko jednego z myśliwych, szybki ruch strzelby, strzał i słonka, machnąwszy kozła, spadła miękko na kępę wrzosów.

Na innem miejscu postanowił wychylić się lisek, chyłkiem skręcił wbok, przywarował przed samą linją strzelców i w pewnej chwili mignął przez dukt, już pędzi w rzadkiej drągowinie. Pięć kroków dzieli go od zbawczej gęstwiny, jeszcze dwa kroki, a będzie uratowany... Buchnął strzał i lis czuje kłujący ból we wnętrzu, chce zrobić skok, ale napróżno, nogi odmawiają mu posłuszeństwa, jeszcze raz napręża mięśnie i pada.

Miot dobiega końca. Bażanty, gnane niespodziewanym najściem ludzi w ich siedzibę, wybiegają na nogach z pod nawisłych gałęzi świerkowego zagajnika na dukt i tu, spotkawszy się z myśliwymi, rwą się na skrzydłach w powietrze, przestraszone i ogłupiałe.

Strzały grzmią, jak w walnej bitwie, bażanty, rażone gradem śrutów, sypią się w dół, ścieląc sobą i piórami leśną ścieżynę. Wreszcie ze zwartej ściany zagajnika wysuwają się poszczególni naganiacze, zbierając martwe już resztki. Psy z hałasem po laskach i krzakach szukają postrzałków.

Myśliwi ściągają ze stanowisk na polanę, wesoło gwarząc o minionem polowaniu. Każdy rad i zadowolony z licznych trofeów, sypią się dowcipy i powinszowania. Gwarno i rojno zrobiło się w lesie. Zabite bażanty, rozłożone w długą linję, błyszczą złoto-bronzową barwą na leśnej polanie.

WOJCIECH TACZANOWSKI.

WIEŃCE JELENI WĘGIERSKICH.

W jednym z numerów niemieckiego czasopisma „Deutsche Jagd" umieszczony został ciekawy artykuł barona von Pronay'a na temat budowy wieńców jeleni, ze szczególnem uwzględnieniem jeleni węgierskich, których wieńce, zdaniem autora, należą do najpiękniejszych w Europie.

Artykuł powyższy, w którym autor poświęca szereg uwag i naszym jeleniom karpackim, niewątpliwie zainteresuje szerszy ogół myśliwych, wobec czego artykuł bar. v. Pronay'a podaję w streszczeniu.

Okres odrastania wieńców jelenia trwa 5 miesięcy, w ciągu których masa kostna jest jeszcze o tyle miękka, że wieńce łatwo ulegają deformacji. Po sześciu miesiącach naczynia krwionośne, które dotychczas doprowadzały niezbędne do tworzenia się masy kostnej soki, zamierają, przez co wieńce nabierają należytej mocy, twardości i elastyczności, służąc zwierzęciu od tej chwili jako narzędzie walki i obrony.

Wiadomem jest, że dla tworzenia się kości niezbędny jest fosfor i wapno. Poza temi dwoma czynnikami jednak poważny wpływ na budowę wieńców mają jeszcze inne współczynniki, jak: stosunek liczebny pod względem płci, wiek indywidualne skłonności, klimat i pożywienie.

Jeżeli chodzi o stosunek liczebny pod względem płci, to warunki są niemal identyczne wszędzie. We wszystkich krajach myśliwi popełniają ten sam kardynalny błąd, polegający na zbyt daleko idącej ochronie łań i zbyt daleko posuniętym odstrzale byków, skutkiem czego do wielkich rzadkości należy, jak tego dowodzą liczne wystawy łowieckie, upolowanie jelenia, któryby liczył więcej nad lat 10. Normalnie wiek ten jest wystarczający, by jeleń stał się w pełni dojrzałym, nie można jednak tego powiedzieć o jego wieńcach, budowa których w dużej mierze zależną jest od indywidualnych skłonności, klimatu i pożywienia. Tak np. jeleń karpacki, o wieńcach z długiemi odnogami, potrzebuje o wiele więcej czasu, by dorównać pod względem ilości odnóg jeleniowi nizinnemu, którego cechą charakterystyczną są wieńce o dużej ilości, lecz zato krótkich odnóg.

Indywidualne skłonności są do pewnego stopnia dziedziczne, skutkiem czego z biegiem czasu wytworzyły się pewne rasy, jaskrawo różniące się między sobą, czego przykładem służyć nam mogą jelenie karpackie, z okolic Siedmiogrodu, węgierskie, czy wreszcie nizinne. Tak np. typ jelenia z lesistych okolic Karpat, lub okolic Siedmiogrodu ma w sobie wiele cech marala, jakiemi są rozłożystość wieńców, stosunkowo mała ilość długich odnóg, szary kolor sierści i duża waga, słowem specjalny typ, który nawet wśród łań daje się łatwo odróżnić.

Większość jeleni karpackich, zdaniem pana Pronay'a, ma w sobie zadatki na to, aby stać się kapitalnemi, gdyby nie zbyt wczesny ich odstrzał oraz inne względy, o których mowa niżej.

Klimat i rodzaj pożywienia są poniekąd w ścisłym ze sobą związku.

Wpływ klimatu może być bezpośredni i pośredni. Bezpośredni wpływ klimatu polega na działaniu promieni słonecznych oraz ilości opadów atmosferycznych. Szkodliwości długotrwałego zimna nie potrzeba dowodzić, gdyż wiadomo, że zwierzę wymaga wówczas daleko więcej substancyj odżywczych dla podtrzymania temperatury wewnętrznej ciała. Doświadczenia profesora Lubnera wykazały, że pies krótkowłosy przy temperaturze 0° potrzebował 2¾ raza więcej mięsa i tłuszczu, aniżeli przy temperaturze 30°, gdy natomiast pies długowłosy w tychże warunkach tylko dwa razy więcej.

Interesujące są zestawienia, uwidoczniające roczny przyrost wieńców po łagodnych i odwrotnie, po mroźnych zimach. Zestawienia te stwierdzają, do jakiego stopnia ciepło ma wpływ na rozwój poroża. Dane meteorologiczne wskazują, że przeciętna liczba dni w roku o temperaturze ponad 0° jest daleko większa na Węgrzech, aniżeli w Austrji, Niemczech, lub Polsce, a ponadto Karpaty węgierskie obrócone są frontem na południe, co stwarza wyjątkowo korzystne warunki dla rozwoju poroży.

Obok niezaprzeczenie dodatniego wpływu ciepła na rozwój wieńców, tkwi w niem również i pewna doza niebezpieczeństwa, gdyż suche, upalne lata sprzyjają rozmnażaniu się pasorzytów, przedewszystkiem w postaci gza, składającego swe larwy pod skórą, co wyniszcza organizm zwierzęcia. To samo dotyczy i opadów atmosferycznych. Z jednej strony gruba warstwa śniegu może być dla jeleni karpackich zgubną, z drugiej jednak te trudne warunki bytowania w czasie śnieżnej i mroźnej zimy przyczyniają się do naturalnej selekcji, przyczem znaczne ilości śniegu sprzyjają następnie bujniejszej roślinności.

Tereny górskie podzielić można na dwie kategorje: takie, na których jeleń żyć musi wyłącznie z tego, co mu daje las, oraz takie, gdzie obok lasu wychodzić może na żer na żyzne pola uprawne. Węgierskie tereny górskie należą niemal wyłącznie do tej drugiej kategorji, skutkiem czego jelenie mają tam, jak wyżej stwierdzono, obok wyjątkowo korzystnych warunków klimatycznych, wyjątkowe warunki także pod względem pożywienia.



Z rykowiska w Karpatach zachodnich. Wieniec pierwszego jelenia, jaki padł w lasach Rytorskich Adama hr. Stadnickiego, ubity przez właściciela; waga wieńca 9,3 kg.

W przeciwieństwie do naszego jelenia karpackiego, który w większości wypadków zadowalać się musi ubogą i małowartościową paszą, jeleń węgierski ma poddostatkiem paszy, bogatej we wszelkie składniki, jak sole mineralne, fosfor, wapno, amidy, tłuszcze i t. p.

Zwierzyna, pozostająca na wolności, korzysta z pożywienia, kierując się raczej smakiem, aniżeli wartością odżywczą roślin. Byłoby zupełną niemal niemożliwością analityczne stwierdzenie odżywczej wartości wszelkich roślin, z jakich korzysta zwierzyna, pozostająca na wolności. Więcej celowem zatem będzie analityczne stwierdzenie wszelkich składników, w jakie obfituje dany gatunek gleby, co ma wpływ bezpośredni na wartość paszy.

Oddawna już zauważono, że urodzaj na żołędzie i buczynę odbija się nadzwyczaj korzystnie na budowie wieńców. Profesor Daniel Feher z wyższej szkoły rolniczej w Sopron stwierdził, że żołędzie zawierają 40% krochmalu, natomiast buczyna 67%. Dr. König porównuje żołędzie z pszenicą i dowodzi, że żołędzie zawierają 46,83% węglowodanów, 3,08% tłuszczu i 3,26% proteiny, natomiast pszenica 68,65% wę-

glowodanów, tylko 1,85% tłuszczu i 12,04% proteiny. Zawartość proteiny i tłuszczu, zarówno jak i wapna, jest znacznie większa w buczynie, aniżeli w żołędziach. Zawartość związków proteinowych, przyswajalnych dla organizmu, w buczynie wynosi 9,60%, natomiast w żołędziach tylko 4%. Buki należą do rzędu drzew, wymagających od gleby dużej ilości wapna, gdy natomiast dęby kontentują się glebą uboższą w wapno.

Gleboznastwo i klimatologja są ze sobą w ścisłym związku, jak tego dowodzą badania naukowe znanego geologa węgierskiego d-ra Traitza, które posłużyły do wyprowadzenia wniosków, dlaczego mianowicie wieńce jeleni węgierskich uważane są za najlepsze.

Pierwszym, który dokonał klasyfikacji gleby według stref klimatycznych, był profesor uniwersytetu kalifornijskiego dr. Hilgard, pierwsza zaś mapa klimatogeologiczna sporządzona została w roku 1924 przez wspomnianego wyżej d-ra Traitza. Według klasyfikacji klimatogeologji rozróżniamy trzy strefy, a mianowicie strefę suchą, wilgotną i umiarkowaną. Granica strefy wilgotnej biegnie wzdłuż Karpat, tak że cała nizina węgierska leży właściwie w strefie umiarkowanej.

W strefach klimatycznych rozróżniamy rejony klimatyczne, do określenia granic których posłużyły rośliny charakterystyczne dla danego rejonu. Profesor Traitz był tym, który na zasadzie roślin charakterystycznych dla danego rejonu sporządził mapy klimatologiczne. Rejony leśne stanowią przejście od umiarkowanego do wilgotnego klimatu, przyczem wszystkie pola uprawne, leżące w tych rejonach, podlegają tym samym zasadom. Wszystkie lasy, które znajdują się w strefie umiarkowanej, jak np. położone w nizinie węgierskiej, mają też cechy strefy umiarkowanej. Wysokość nad poziomem morza nie stanowi dowodu, że dana miejscowość leży w strefie wilgotnej. Na granicy strefy wilgotnej, na południowych stokach Karpat, buki są daleko wyższe, aniżeli gdzieindziej. Ciekawą rzeczą jest, że na równinach południowych Węgier znajdują się również lasy bukowe, pomimo umiarkowanego klimatu. Objaśnić się to daje tem, że na południu Węgier dają się zauważyć znaczne ilości opadów w okresie jesiennym.

Wierzchnia warstwa gleby urodzajnej tworzy się bądź przez lasowanie gruntu skalistego pod wpływem klimatu, bądź przez specjalne zjawisko klimatyczne w postaci opadów pyłu. W pierwszym wypadku urodzajna warstwa gleby posiada wszystkie składniki wierzchnich warstw pokładów geologicznych, charakterystycznych dla danej miejscowości, w drugim zależną jest od owego pyłu, który, od wieków stale opadając, utworzył warstwę ziemi urodzajnej, co właśnie ma miejsce na Węgrzech. Proces opadania pyłu jest następujący: przy silnie nagrzanem powietrzu i prądach powietrznych drobne cząsteczki piasku, lub gruntu urodzajnego, porywane są i przenoszone w postaci całych chmur pyłu w bardzo odległe okolice, gdzie klimat jest wilgotniejszy i gdzie pod wpływem owej wilgoci pył, stając się cięższym, opada na ziemię. Tego rodzaju zjawiska dają się zauważyć zarówno na Saharze, jak i na stepach południowej Rosji i Węgier, w zależności od czego pył zawierać może więcej, lub mniej urodzajnych cząstek gruntu. Granicą strefy wilgotnej są Karpaty, Pireneje i Alpy, które jednocześnie są granicą opadania pyłu. W północnych częściach Europy zjawisko to ma też miejsce, lecz w daleko mniejszym stopniu. Badania d-ra Traitza wykazały, że na Węgrzech pył, który tam opada, wywiera niezmiernie dodatni wpływ na jakość gleby. W zachodnich Karpatach osiada daleko mniej pyłu, aniżeli we wschodnich. Cała Bukowina i wschodnia Małopolska są pod wpływem znacznych opadów pyłu, pochodzącego ze stepów południowej Rosji, gdy natomiast w zachodniej Małopolsce pył ten osiada w minimalnej już tylko ilości.

Dr. Traitz dokonał licznych analiz wody deszczowej i śniegu w różnych okolicach i stwierdził, że największe opady pyłu bywają w miesiącach od stycznia do marca. Pył zawiera wiele składników mineralnych, wapna, żelaza i mikroorganizmów. Ilość opadów pyłu zależną jest od klimatu, dlatego też klimat wywiera decydujący wpływ na jakość wierzchniej warstwy ziemi urodzajnej. Gąszcze leśne, które zatrzymują dużo wilgoci, wyjaławiają niezmiernie szybko grunt, pozbawiając go wszelkich składników odżywczych. Dlatego też grunt na połoninach jest zazwyczaj o wiele żyźniejszy. Najwięcej ulega wyjałowieniu grunt w gęstych drzewostanach świerkowych i jodłowych. W lasach bukowych, które, jak wyżej wspomniano, wymagają znacznej ilości wapna, grunt zasilany jest niem stale przez opady pyłu.

Silne opady pyłu na Węgrzech, w szczególności na południowych stokach Karpat, wyjaśniać zdają się dostatecznie przyczynę, dlaczego mianowicie wieńce jeleni węgierskich są wyjątkowo piękne. W miarę posuwania się na zachód opady pyłu są coraz mniejsze, w związku z czem żyzność gleby maleje, czemu towarzyszy charakterystyczny objaw pogarszania się również stopniowo i wieńców jeleni. Analizy wody, brane z licznych źródeł w górach oraz wody, pochodzącej z roztopionego śniegu, wskazują, że woda źródlana zawiera wapna bardzo mało, bądź nawet wcale, w przeciwieństwie do wody, pochodzącej z roztopionego śniegu, która zawiera znaczne ilości wapna. Szczegół ten wyjaśnia, dlaczego jelenie karpackie daleko chętniej piją wodę z roztopionego śniegu, aniżeli wodę źródlaną. Że jednak w pewnych okresach mają do dyspozycji wyłącznie wodę źródlaną, więc ją też piją, przyczem najchętniej z takich źródeł, które są bogate w rozmaite sole mineralne, a w pierwszym rzędzie w żelazo. Źródła takie w Karpatach są bardzo liczne. Żelazo jest tym ze składników, który bardzo dodatnio wpływa na obieg krwi. Wyżej była już o tem mowa, że w czasie odrastania wieńców krew jest tym czynnikiem, który doprowadza soki odżywcze i powoduje osadzanie substancyj, niezbędnych do tworzenia kości. Szczegół ten wyjaśnia dlaczego wieńce jeleni karpackich, a w szczególności węgierskich, odznaczają się znacznym swym ciężarem gatunkowym, o czem świadczą już na pierwszy rzut oka białe końce odnóg, co dla ciężaru gatunkowego jest charakterystyczne.

Na Węgrzech klasyfikuje się odnogi wieńców wedle długości. Do pierwszej kategorji zaliczają się odnogi o długości do 100 cm, do drugiej od 100 do 110 cm. i do trzeciej od 100 do 120 cm. Budapeszteńska wystawa dowiodła, że większość jeleni węgierskich zalicza się do trzeciej kategorji.

Wieńce jeleni z zachodnich Karpat i dalej na zachód odznaczają się większą ilością krótkich odnóg, przy znacznej nieraz grubości, co zależne jest od wieku jelenia i jego indywidualnych skłonności.

S. KAMOCKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na czwarty kwartał b. r., lub na miesiąc grudzień. Jednocześnie prosimy o propagowanie idei, którym służy nasze pismo i o zjednywanie mu coraz dalszych kół zwolenników.

Administracja.

SYMPATYCZNI SZKODNICY.

Trudno innem mianem określić miłe gryzonie — króliki.

Bo istotnie dla myśliwego, a szczególnie dla strzelca, „rzucanie" swego ładunku do jak lalka przebiegającego przez wąski dukt leśny zwierzątka, bądź nawet do spazmatycznie „kicającego" w otwartem polu, stanowi niebylejaką rozmaitość w szeregu poważnych emocyj venatorskich.

Oprócz tego szelmowski psotnik, „*lepus cuniculus*", trafia się na terenie, jak to mówią na zawołanie, stanowiąc poniekąd „premję pocieszenia".

Chociaż, dzięki Bogu, ogólnie biorąc, obecne nasze zwierzostany wykluczają możliwość powrotu do domu z pustemi trokami, jednakże mogą i obecnie zdarzać się podobnie nieszczęsne wypadki.

Otóż w takich opresjach zbawczy królik jest zawsze na posterunku, gwoli konsolacji niefortunnego, czy pechowego myśliwca.

Zawodowy pudlarz nawet w takich okolicznościach, jeśli trofeów żadnych nie zdobędzie, to przynajmniej nastrzela się dosyta.

Normalny zaś czciciel św. Huberta będzie miał okazję do wielu trudnych, pięknych rzutowych strzałów, dających się porównać chyba do skierowanych w bystrolotne bekasy. Pozostaje jeszcze przyjemność, naturalnie u osobników naszej konfraterni o inklinacjach samotniczych, podczas czatowania na króliki, na wychodnego z norek a „wchodnego" w rannych godzinach z przylegających pól do remiz i zagajników, no — i posługiwania się fretkami dla napędzenia celu pod lufy. Krótko mówiąc, królik, uważany zwykle za quantitée négligeable, dostarcza nam jednakże niemałej porcji skromnych coprawda bardzo, lecz miłych przeżyć łowieckich.

Z punktu widzenia ekonomicznego „giełdowe" jego honorowanie wynosiło w ubiegłym sezonie, 60—90 groszy sztuka, za skórkę, zużywaną jako surowiec do wyrobów kuśnierskich, lub też kapeluszniczych. Chociaż pozycja niewielka cyfrowo, lecz ilościowo pomnożona może przyczynić się do pewnego zasiłku budżetu łowieckiego w dzisiejszych kryzysowych czasach.

Pod względem gastronomicznym tak zwany i wysoko ceniony przez Francuzów „*maitre Jeannot*" (Imć Pan Janek) — jest dość miernym objektem kulinarnym.

Słynna *gibelotte de lapin* (potrawka z królika), którą delektują się nasi nadsekwańscy przyjaciele, stanowi bardzo mizerny wyrób kunsztu Vatelów i nadzwyczaj prędko przejada się. Natomiast wyśmienity sposób przyrządzania go polega na robieniu z króliczego mięsa siekanych kotlecików *à la marechal*. Jeśli jeszcze do tego dodać nieco gęsiej wątróbki i szczyptę trufli — staje się to danie godnem smakoszów nawet. Zresztą i bez tych dodatków są króliki w postaci filecików wcale dobre. Pasztet z nich też nie do pogardzenia, szczególnie na zimno, z galaretą. Zupa z przetartego ich mięsa — doskonała.

Wszystkie te okoliczności przytoczyłem dlatego, żeby ustanowić na skutek dodatnich argumentów materjał do pewnej ochrony sympatyczności tych, zasadniczo biorąc, arcy-szkodników i to dubeltowych, bo łowieckich, a w większym jeszcze stopniu leśnych.

A przecież los zagajników i leśnych kultur jest za blizko z łowiectwem związany, żeby obok tych zagadnień można było przejść do porządku dziennego.

Doskonale to jest ujęte i wyłuszczone w świetnym artykule inż. Drzewieckiego w N-rze 9 „Niwy leśnej". Zważając, że jest to kwestja wyłącznie fachowo-leśna, nie będę jej analizował. Zresztą i tak każdy z nas jest należycie poinformowany o szkodach, polegających na zgryzaniu pędów młodocianych sadzonek w kulturach, o podgryzaniu korzeni większych już drzewostanów, jakoteż o korowaniu nawet 10—12 letnich drzewek.

Zwróćmy się więc do tego, co nas najwięcej obchodzi — do szkód w łowiectwie.

Co jest poprostu strasznem w rodzie króliczym, to ich fenomenalna płodność. Pewien francuski autor skalkulował, że z jednej pary tego gatunku, po czterech latach, moglibyśmy się doczekać półtora miljona sztuk. Bagatela! Przy podobnej zdolności do rozmnoży, nie mającej nic wspólnego z teorją Maltusa i osławionym „zweikinder" - systemem — błogosławieństwem niemal staje się obecność przeróżnych tępicieli królików, na pierwszym planie, jak zawsze, z królem przyrody na czele — no, i mnogie też rozmaite epidemje i pomory, gruntownie przerzedzające „mrowiskowe" skupienia tych gryzoniów.

Na skutek tych właściwości królika ustawy wszystkich krajów zezwalają na odstrzał i tępienie królików najrozmaitszemi sposobami, do trutek włącznie.



„Lord". Fot. W. Korsak.

Belgja nawet idzie jeszcze dalej, gdyż władze mogą zarządzać polowania na nie pomimo woli właścicieli — administracyjnym sposobem.

Naszej ustawy łowieckiej art. 50 zezwala również na łowy na króliki w przeciągu całego, okrągłego roku, art. zaś 41 — na użycie wszelkich środków, na inne nawet szkodniki niedopuszczalnych. Królika np. chwytać w żelaza można, a lisa — niewolno. I bardzo słusznie! Oczywiście, że szanujący się myśliwy nie będzie korzystał nigdy w całej pełni z przysługujących mu tak szeroko uprawnień i nie będzie mordował tych zwierzątek, o tak dobrodusznych, poczciwie wyglądających mordeczkach, w okresie wiosny i lata. Natenczas to bardzo łatwo jest odstrzelić karmiącą swe maleństwa — matkę. Etyka łowiecka i sumienie venatorskie nie pozwalają na taki karygodny i okrutny czyn! Sama myśl, że tam gdzieś, w zaciszu norki, z głodu dogorywa 4—8 sztuk bezbronnych królicząt — wstrętną być musi! I to w najwyższym stopniu.

Myśliwiec przenigdy żadnego barbarzyństwa popełniać nie powinien. Umiłowanie każdej żywej istoty, nawet „szkodliwej" — musi tlić w jego sercu.

Eliminować — regulować rozrost — tak, tępić nawet tam, gdzie tego zachodzi potrzeba, lecz zawsze uwzględniając pewne zasady humanitarne i poszanowanie bólu, nigdy niepotrzebnie nie zadając go nikomu!

Nie zawahałem się nigdy ubić samicy gołębiarza, wrony czy krogulca — na gnieździe, zawsze jednocześnie niszcząc strzałem młode pisklęta.

To samo winno być zastosowane względem czworonożnych. Coprawda niezawsze można to wykonać z kuną, tchórzem, łasiczką w okresie rozmnoży, ale tu wiemy „notorycznie", że każda ubita samica królika musi mieć swą dzieciarnię!

Tu już żaden nieunikniony *vis major* mieć miejsca nie może. Nie jest bynajmniej sentymentalną czułostkowością podobne litościwe zapatrywanie się na bezbronnych maluczkich, gdyż stanowić to musi integralną zasadę każdej rzetelnej duszy myśliwskiej.

Po tym romantycznym nieco odskoku — do rzeczy!

Zdaje mi się więc, że, zawzięcie polując na króliki z fretką, naganką, na czatach i przy każdej sposobności odstrzeliwując je na jesieni i zimą, możemy unormować ich stan w naszych łowiskach. W razach, kiedy zachodzi konieczność ich zupełnej nieobecności na terenach — uda się nam także „wytępić" te szkodniki, bez kompromisów ze swem sumieniem. Nie mamy czego się bać, gdyż zaiste sprowadzone do zachodniej Europy z Hiszpanji, czy też północnej Afryki owe gryzonie — ongiś, pobudziły nawet Cezarów starożytnej Romy wysłać kohorty wojskowe — dla ich „wyniszczenia".

Jeśli więc i u nas akcja rozmnoży królików dalej pójdzie *crescendo* — a nie *diminuendo* — do bardzo smutnych rezultatów doprowadzić łacno może nasz dziś tak świetnie prosperujący stan zajęcy w kraju.

Rozpatrzmy więc nieco przyczyny wykurzania miłych szaraków przez ich ruchliwych, arcy-nerwowych i buńczucznych kuzynków — pobratymców, a tak jednak we wzajemnych towarzyskich stosunkach wojujących między sobą gatunków.

Zając, którego naukowa nawet nazwa *lepus timidus* dobitnie charakteryzuje tchórzliwą psychikę i wiecznego strachu nastroje, zając z natury swej kontemplacyjne, ciche stworzonko rozkoszuje się w ciągu dnia absolutnym spokojem, leżąc pod krzaczkiem w zagajniku, remizie, czy bróździe polnej, odczuwa całą błogość bajecznego *dolce far niente*. Dopiero o zmroku wyłania się na dalsze polne wyprawy.

Choćbyś ananasy, brzoskwinie i banany zadawał mu w rewirach zadrzewionych, musi nasz długouchy udać się o kilka nieraz kilometrów, w pogoni nie za specjałem żadnym, ale za półzgnitą kupką kartofli, buraków, lub główką kapusty najwyżej.

Atawistyczny ten pęd do nocnych wędrówek musi jednak w swem podłożu mieć pewną dozę użycia niejako *footingu* spacerowego po długich godzinach dziennego wylegiwania się.

Któż znać może tajniki duszy zajęczej?

Najwięcej ich też pada ofiarą podczas tych peregrynacyj we wnykach przeróżnych i podczas „wychodnego", z samopałów kłusowniczych. Odpoczywając po nocnych niebezpieczeństwach natomiast, muszą mieć absolutny spokój.

Tymczasem króliki są w ciągłym, nieustannym ruchu, biegają, jak szalone, po całym rewirze, niepokojąc i płosząc zające. Toteż zające powoli emigrują z takich łowisk, jeśli nie doszczętnie, to jednak w poważnej bardzo liczbie. Faktem jest, że, mając mnóstwo królików, nie będziemy nigdy mieli odpowiedniej do przestrzeni łowiska ilości zajęcy. A przecież pod każdym względem stanowią one fundament naszych polowań.

Zając bez myśliwego może i obejdzie się, ale myśliwy bez zająca — nigdy.

Pomijając wielkie uszkodzenia naturalnych schronów i przytulisk naszej zwierzyny kulturalnej — bażantów, sarn, kuropatw i zajęcy — niszcząc lasy, zagajniki, remizy i kultury, króliki doprowadzić mogą do kompletnego zaniku specjalnie ród zajęczy. Ładna perspektywa!

Więc dwóch zdań być nie może: winniśmy eliminować króliki, tam zaś, gdzie trzeba, „tępić" je uparcie!

Jednakże nie można pozbyć się pewnego sentymentu łowieckiego dla nich i pomimo wszystko, po tylu doznawanych, na skutek „kontaktu" z niemi, drobnych uciechach łowieckich — inaczej ich określić, jak mianując sympatycznemi szkodnikami.

Owszem — miejmy króliki w naszych łowiskach, zawsze jednak bacznie śledząc nadmiar ich rozmnoży i odpowiednio go zmniejszając. Wtedy i króliki będziemy strzelać i zajęcy nam nie zabraknie.

Pamiętajmy bowiem zawsze, że zając to grunt i przyszłość naszych łowisk.

ADAM RZEWUSKI.

CZY BOCIAN NAPRAWDĘ JEST NIESZKODLIWY?

To pytanie nasunęło mi się przy czytaniu w numerze 30 „Łowca Polskiego" b. r. artykułu p. dr. K. Wodzickiego, biorącego dość kategorycznie w obronę naszego białego bociana. Zdanie moje w tej sprawie jest, niestety, zupełnie inne. Piszę niestety, gdyż wolałbym widzieć w bocianie ptaka, jeśli nie pożytecznego, to przynajmnej nieszkodliwego. Jest on tak tradycyjnie związany z naszym krajobrazem, tyle za tym ptakiem idzie podań i przesądów ludowych, że ciężko jest wydać nań wyrok śmierci. Dałbym wiele za bezwzględne udowodnienie nieszkodliwości bociana, ale jakże to udowodnić, skoro tyle faktów, branych z praktyki, wyraźnie temu przeczy.

Nie mam zamiaru kwestjonować podanych przez p. dr. Wodzickiego wyników badań stacji ornitologicznej w Rossitten; widocznie bociany, strzelane dla tych badań, znajdowały się w specjalnych warunkach danej miejscowości i danego roku. Czyż można uogólniać tę sprawę, przenosząc ją na inne lata i wszystkie okolice naszego kraju? Że nie można, to już wystarczą przykłady, cytowane przez p. Wuzeta w artykule, na który właśnie p. dr. Wodzicki odpowiada.

Zachowanie się bocianów w naszych łowiskach jest przeważnie takie, jak to opisuje p. Wuzet, na to żadna teorja nie poradzi. Nie mamy tu do czynienia z „poglądami", jak to zaznacza w tytule swego artykułu p. dr. Wodzicki, lecz właśnie z praktyką i to nie jednego p. Wuzeta, lecz całego szeregu innych myśliwych, też ludzi poważnych i ze wszech miar wiarogodnych, którzy niejednokrotnie opowiadali mi swe spostrzeżenia nad szkodliwością bociana dla łowiectwa.

Mój punkt widzenia na tę sprawę mogę poprzeć i własnemi spostrzeżeniami. Blisko trzydzieści lat temu, jako bardzo początkujący nemrod, uczony w domu szanowania bocianów, odnosiłem się do nich z wielką sympatją, ale rozczarowanie nie kazało na siebie długo czekać. Zdybałem kiedyś boćka, jak niszczył zapamiętale gniazdo kuropatwy. Od tej pory zacząłem strzelać bociany. Dziesięć pierwszych, zabitych w ciągu kilku lat, poddałem gruntownej sekcji i cóż się okazało? Na te dziesięć tylko w jednym nie znalazłem nic podejrzanego, zato pozostałe dziewięć miały w żołądkach kostki ptaków, resztki kretów, a jeden małego zajączka.

W bieżącym roku moją okolicę nawiedziły wyjątkowo licznie bociany. Gdym po wielkich staraniach dopilnował, że przy koszeniu koniczyny cztery gniazda kuropatw zostały zawczasu wynalezione i niewykoszone, trzy z nich zostały pierwszego dnia zniszczo-

ne przez bociany w oczach pracujących ludzi, a jedno tylko ocalało.

Pozwolę więc sobie przytoczyć w całości zdanie z artykułu p. dr. Wodzickiego: „Jest rzeczą oczywistą, że dla zupełnego wyjaśnienia sprawy odżywiania się bociana muszą być przeprowadzone jeszcze dalsze badania na jeszcze poważniejszym materjale — niemniej przedstawione wyniki są tak rewelacyjne i przekonywujące, że właściwie wszelkie komentarze, wydają się zbyteczne".

Zdaniem mojem zbędne są wszelkie komentarze, ale właśnie do uznania bociana za szkodliwego dla łowiectwa.

Pomimo wszystko, co wyżej napisałem, nie chciałbym uchodzić za zwolennika bezwzględnego tępienia bociana w Polsce. Ma on również i swoje dobre strony (przedewszystkiem tępienie myszy polnych), a poniekąd i pewne prawo obywatelstwa, uświęcone tradycją. Należy go jednak odstraszać od miejsc, w których wyrządza szkody, w pierwszym rzędzie wiosną od pól i suchych łąk, gdzie gnieżdżą się kuropatwy i gęściej przebywa młody zając. Zabicie kilku, czy kilkunastu bocianów, zależnie od tego, w jakiej ilości się pojawiły, wystarczy, by pozostałe omijały starannie niebezpieczne dla siebie okolice. Na polach toleruję bociany dopiero od chwili rozpoczęcia zwózki żyta, to znaczy mniejwięcej od drugiej połowy lipca, gdy młode kuropatewki o tyle podrosną, że łatwiej ujdą długodziobemu wrogowi, a ten zkolei zabiera się z amatorstwem do tępienia myszy, łykając je, jak kluski, za każdym wozem.

Jednem słowem wszystko jest dobre, ale na właściwem miejscu i o właściwej porze. Zbyt jednostronny sąd żadnej sprawy nie wyjaśni, a taką właśnie jednostronność miałbym do zarzucenia p. dr. Wodzickiemu w Jego artykule.

Na zakończenie muszę podkreślić, że z rozmysłem pominąłem sprawę szkodliwości bociana dla rybołóstwa, zbyt mało mam bowiem co do tego wyrobione zdanie. Sądzę jednak, że rybacy, a zwłaszcza właściciele gospodarstw stawowych, będą mieli z pewnością wiele do zarzucenia bocianowi.

INŻ. K. KOMIEROWSKI.

UBIŁEM ZAMIAST ROGACZA — KOZĘ.

Lubię czytać o udanych polowaniach. Miło oglądać zdjęcia, obrazujące piękne wyniki polowań i to specjalnie na grubą zwierzynę. Jakiż szczęśliwy myśliwy, który ubije jednego dnia trzy lub cztery, a w trzy dni osiem rogaczy! Wyniki takie można osiągnąć tylko w bardzo dobrych łowiskach. Ileż radości i emocji doznał taki myśliwy — wrażeń tych niepodobna zapamiętać.

I mnie raz szczęście tak służyło. Korzystając z gościnności p. bar. K. w W., ubiłem 15.X.33 r. w jego wyjątkowo dobrem łowisku trzy rogacze, strzelając trzy razy! Pod wrażeniem tego wyjątkowego powodzenia, po powrocie do Warszawy dziękowałem listownie gospodarzowi za przeżycie wyjątkowej emocji myśliwskiej, „jakiej już chyba nie doznam w życiu". Piękne są takie polowania i pozostają w pamięci nazawsze.

Szczęścia takiego nieczęsto się jednakże doznaje. Pamiętam inny wynik—arcy dla mnie fatalny i przykry. Jadąc w lubelskie, zajechałem do p. J. P. w Z., który, sam nie polując, zaprosił mnie na rogacza. Stan sarn — jak mówił — nie jest u mnie świetny, ale odstrzelić trzeba trzy rogacze, które zadanie swoje już spełniły i które winny ustąpić miejsca młodszym.

Pieczołowitym opiekunem sarn był miejscowy rządca, doskonale znający łowisko. Z nim pojechałem na podjazd. Godzinę prawie jeździliśmy po lesie — bez skutku. Jadąc łąką brzegiem lasu, ujrzeliśmy nagle w odległości 40—50 kroków leżącego rogacza i to, jak mi szepnął mój towarzysz, jednego z wybranych. Serce zabiło mi oczywiście żywiej. Przejeżdżając obok kępy drzew, zeskoczyłem z powózki, która pojechała dalej. Przywarłszy do najbliższego pnia, sprawdziłem przez lornetę, że rogacz to szóstak dorodny. Interesował się przytem tylko odjeżdżającą bryczką, która stanęła w pewnej odległości. Nie podobało mu się to widocznie, gdyż wstał nagle i wolnym krokiem szedł ku pobliskiemu zagajnikowi. Wiedząc, że w takich chwilach, decyduje pośpiech, opuściłem lornetę, podniosłem sztucer i zauważywszy, że rogacz zaczyna się śpieszyć, wycelowałem, a w chwili, gdy krzyż lunety spoczął na komorze — wypaliłem. Odniosłem wrażenie, że rogacz padł w ogniu. Zarepetowawszy, udałem się na miejsce — rogacza jednakże nie znalazłem. Towarzysz mój obserwował przebieg zdaleka i twierdził, że strzelana sztuka poszła... Okrążając miejsce, odnaleźliśmy po chwili sztukę, która, strzelana nisko na komorę, leżała w odległości 50 kroków i okazała się... kozą. Łatwo wyobrazić sobie moje zdziwienie i konsternację. Wiedziałem z pewnością, że obserwowana sztuka była rogaczem, jakże więc mogłem ubić kozę?! Zaczęliśmy rozważać przebieg wypadków. Gdy zeskoczyłem z powózki, widziałem z całą pewnością rogacza i mój towarzysz widział go także. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział też, że rogacz wstał i ciągnął zwolna do zagajnika. Zauważył jednakże, stojąc z boku, czego ja nie widziałem, że za krzaczkiem, w odległości dwóch kroków od rogacza, leżała sarna, która także wstała i ciągnęła za rogaczem. Gdy opuściłem lornetę i podniosłem sztucer, rogacz już wszedł w zagajnik, a ja, nie zauważywszy tego i nie sprawdzając powtórnie, wypaliłem do — kozy.

Tak nad wyraz przykre wypadki są najlepszą szkołą myśliwego. To samo mówił mi znany myśliwy, który w młodości ubił wodzącą lochę, gdyż nie wziął pod uwagę, że warchlaki potrafią oddalić się od matki. W podnieceniu swojem wziął osobną sztukę za odyńca i ubił. Fakt ten utkwił mu głęboko w pamięci i w przyszłości był najostrożniejszy i nie strzelał, nie będąc absolutnie pewnym.

Fatalny zbieg okoliczności i nieostrożność myśliwego mogą łatwo spowodować podobne omyłki. W jednym z sierpniowych numerów niemieckiego tygodnika myśliwskiego „Wild und Hund" ogłasza pewien myśliwy niemiecki trzy takie przykre omyłki, spowodowane zbiegiem okoliczności i własnem zdenerwowaniem.

Że mój przykry wypadek nie jest odosobniony, o tem dowiedziałem się niedawno. Jeden z najlepszych i najwięcej zamiłowanych hodowców myśliwskich psów niemieckich, znany myśliwy p. T. A. z Kutnowskiego mówił mi o zupełnie podobnym wypadku, jak ubił z ambony zamiast rogacza, którego obserwował przez pół godziny przez lornetę, kozę, która w chwili opuszczenia lornety i podniesienia sztucera wyszła z za krzaka.

Wypadki te z natury rzeczy rzadko bywają ogłaszane. Powoduje je zwykle fatalny zbieg okoliczności i zdenerwowanie myśliwego. Trzeba się umieć zmusić do spokoju i nie strzelać w wątpliwych warunkach.

S. H.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

DO WIADOMOŚCI WSZYSTKICH MYŚLIWYCH

Komisja Propagandowa P. Z. S. Ł. podaje do wiadomości wszystkich myśliwych, że niezależnie od stowarzyszeń łowieckich oraz kółek myśliwskich, które na mocy swoich zalegalizowanych statutów mogą stać się członkami Związku z prawem głosu na Walnych Zgromadzeniach za pośrednictwem swych delegatów (jednego na każdych 20 członków stowarzyszenia, przyczem rozpoczęta dwudziestka liczy się za pełną), **k a ż d y m y ś l i w y**, odpowiadający warunkom, wyrażonym w § 11 Statutu Związku, może stać się jego członkiem popierającym, opłacając minimalną składkę roczną w wysokości zł. 5.—.

Nawołując do gremjalnego zapisywania się myśliwych w szeregi Związku, Komisja Propagandowa nadmienia, że od Nowego Roku 1935 wprowadzone zostaną imienne legitymacje członkowskie jak również odznaki związkowe, stwierdzające wypełnienie społeczno-obywatelskiego obowiązku każdego prawidłowego myśliwego.

Należenie do stowarzyszenia lub koła, będącego członkiem Związku i regularnie opłacającego składki za swych członków, zwalnia z obowiązku zapisania się indywidualnie na członka popierającego.

Wyciąg ze Statutu P. Z. S. Ł.:

CZŁONKOWIE POPIERAJĄCY.

§ 11. Członkiem popierającym może zostać każdy, kto nie jest ograniczony w używaniu praw cywilnych i obywatelskich. Członkowie popierający mogą być jednani do Związku przez poszczególnych członków Zarządu, delegatów Związku i przez stowarzyszenia, będące jego członkami, zaś przyjmowani do Związku przez Zarząd. Członkowie popierający mogą brać udział w Walnych Zgromadzeniach Związku, bez prawa jednak zabierania głosu na nich, o ile takie prawo, w każdym poszczególnym wypadku, uchwałą danego Zgromadzenia, udzielone im nie zostanie. Mają prawo składania do Wydziału Wykonawczego wniosków na piśmie, w terminie 10 dni przed datą danego Zgromadzenia. Biernego i czynnego prawa wyborczego w głosowaniach i uchwałach Walnych Zgromadzeń nie posiadają. Członkowie popierający obowiązani są stosować się ściśle do zarządzeń i regulaminów, wydanych przez władze Związku. Członkowie popierający tracą swe prawa z upływem roku, za który opłacili składkę.

§ 12. Stowarzyszenia, będące członkami Związku, opłacają składkę w wysokości 5 zł. rocznie od każdego poszczególnego członka. Członkowie popierający opłacają składkę w tej samej wysokości.

Komisja Propagandowa
Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

ZA ZASŁUGI NA POLU ŁOWIECTWA.

Dekretem z dnia 3 listopada 1934 r. Pan Prezydent Rzeczypospolitej nadał po raz pierwszy:

ZŁOTY KRZYŻ ZASŁUGI:

Franciszkowi Nowakowi, inspektorowi nadleśnictwa państwowego Kąty, powiatu obornickiego.

Dekretem z dnia 3 listopada 1934 r. Pan Prezes Rady Ministrów nadał po raz pierwszy

SREBRNY KRZYŻ ZASŁUGI:

Józefowi Adamowiczowi, kierownikowi sekretarjatu Dyrekcji Lasów Państwowych w Łucku, — *Romanowi Romualdowi Boratyńskiemu*, leśniczemu nadl. państw. Rafałówka, pow. sarneńskiego, — *Tadeuszowi Frankowskiemu*, leśniczemu nadl. państw. Kąty, pow. obornickiego, — *Józefowi Długołęckiemu*, p. o. nadleśniczego nadl. państw. Krasne, pow. augustowskiego, — *Zygmuntowi Girajtisowi*, adjunktowi leśnemu nadl. państw. Lubochnia, pow. rawsko-mazowieckiego, — *Janowi Gumińskiemu*, p. o. leśniczego nadl. państw. Smardzewie, pow. opoczyńskiego, — *Stefanowi Jasienickiemu*, nadleśniczemu nadl. państw. Haźlach, powiatu cieszyńskiego, — *Janowi Kielewiczowi*, leśniczemu nadl. państw. Kiwerce, pow. łuckiego, — *Janowi Kowerdzie*, leśniczemu nadl. państw. Chotylów, pow. bialskiego,— *Tomaszowi Kurochowi*, leśniczemu nadl. państw. Zielonka, pow. obornickiego, — *Januszowi Maciejewskiemu*, leśniczemu nadl. państw. Glinna, pow. rawsko-mazowieckiego, — *Janowi Małyszowi*, nadleśniczemu nadl. państw. Istebna, pow. cieszyńskiego. — *Janowi Niekraszowi*, nadleśniczemu nadl. państw. Skierniewice, — *Antoniemu Petrykowskiemu*, nadleśniczemu nadl. państw. Lubochnia, pow. rawsko-mazowieckiego, — *inż. Zdzisławowi Romanowskiemu*, nadleśniczemu nadl. państw. Szeparowce, pow. kołomyjskiego, — *Felicjanowi Runowskiemu*, leśniczemu nadl. państw. Białowieża, — *Janowi Rutkowskiemu*, nadleśniczemu nadl. państw. Nowa Wilejka, pow. wileńskiego, — *Alfonsowi Stwczyńskiemu*, leśniczemu nadl. państw. Lubochnia, powiatu rawsko-mazowieckiego, — *Janowi Stanisławowi Sontagowi*, leśniczemu nadl. państw. Lublin, — *Józefowi Strachowi*, p. o. nadleśniczego nadl. państw. Turza Wielka, pow. dolińskiego, — *Stanisławowi Szancerowi*, nadleśniczemu nadl. państw. Lipno, — *Antoniemu Tomaszkowi*, nadleśniczemu nadl. państw. Konstancjewo, pow. wąbrzeźniańskiego, — *Tadeuszowi Trębickiemu*, leśniczemu nadl. państw. Gródek, powiatu bielsko-podlaskiego.

Dekretem z dnia 3 listopada 1934 r. Pan Prezes Rady Ministrów nadał po raz pierwszy

BRONZOWY KRZYŻ ZASŁUGI:

Kazimierzowi Babińskiemu, gajowemu nadl. państw. Rudniki, pow. wileńsko-trockiego, — *Antoniemu Daukszewiczowi*, leśniczemu nadl. państw. Rudniki, pow. wileńsko-trockiego, — *Piotrowi Derenczowi*, p. o. leśniczego nadl. państw. Krasne, pow augustowskiego, — *Władysławowi Duszyńskiemu*, gajowemu nadl. państw. Maszcza, pow. kostopolskiego, — *Franciszkowi Dzikowskiemu*, gajowemu nadl. państw. Glinna, pow. rawsko-mazowieckiego, — *Stanisławowi Fafarze*, gajowemu nadl. państw. Błogie, woj. kieleckiego, — *Hipolitowi Garbackiemu*, gajowemu nadl. państw. Lublin, — *Mikołajowi Gorbaczowi*, gajowemu nadl. państw. Jałówka, pow. wołkowyskiego, — *Karolowi Juchniewiczowi*, gajowemu nadl. państw. Łuck, — *Janowi Karpińskiemu*, gajowemu nadl. państw. Mosina, pow. śremskiego, — *Trofimowi Klimukowi*, gajowemu nadl. państw. Starzyna, pow. bielsko-podlaskiego, — *Maciejowi Kowalowi*, gajowemu nadl. państw. Włoszczowa, — *Franciszkowi Kruppie*, leśniczemu nadl. państw. Osusznica, pow. chojnickiego, — *Antoniemu Kuchcie*, gajowemu nadl. państw. Dyminy, woj. kieleckiego, — *Władysławowi Lubikowi*, leśniczemu nadl. państw. Szarlata, powiatu świeckiego, — *Janowi Majchrzakowi*, gajowemu nadl. państw Glinna, pow. rawsko-mazowieckiego, — *Władysławowi Michalakowi*, gajowemu nadl. państw. Włocławek, — *Józefowi Morze*, leśniczemu nadl państw. Knyszyn, pow. białostockiego, — *Janowi Nestorowiczowi*, gajowemu nadl. państw. Glinna, pow. rawsko-mazowieckiego, — *Feliksowi Pabichowi*, prowizorycznemu gajowemu nadl państw. Łęczno, woj. łódzkiego, — *Antoniemu Pawłowskiemu*, gajowemu nadl. państw. Brudzewice, woj. kieleckiego, — *Stanisławowi Pawłowskiemu*, gajowemu nadl. państw. Brudzewice, woj. kieleckiego, — *Franciszkowi Poborcowi*, gajowemu nadl. państw.

Skierniewice, — *Zygmuntowi Porożce*, gajowemu nadl. państw. Rudniki, pow. wieluńskiego, — *Janowi Prądzyńskiemu*, leśniczemu nadl. państw. Dębowo, pow. świeckiego, — *Janowi Radoszowi*, gajowemu nadl. państw. Chełm, — *Franciszkowi Rosiakowi*, prowizorycznemu gajowemu nadl. państw. Uniejów, woj. łódzkiego, — *Antoniemu Szadurze*, gajowemu nadl. państw. Krasnystaw, — *Robertowi Szukielowi*, leśniczemu nadl. państw. Wilno, — *Michałowi Wierzbickiemu*, p. o. leśniczego nadl. państw. Krasnopol, pow. augustowskiego.— *Józefowi Wróblewskiemu*, gajowemu nadl. państw. Łobodno, woj. kieleckiego.

Dekretem z dnia 3 listopada 1934 r. Pan Prezes Rady Ministrów nadał po raz drugi

BRONZOWY KRZYŻ ZASŁUGI:

Janowi Bzdakowi, gajowemu, nadl. państw. Gidle, woj. łódzkiego.

ZE STOWARZYSZEŃ KYNOLOGICZNYCH.

PROTOKÓŁ WALNEGO ZGROMADZENIA KLUBU HODOWCÓW WYŻŁA NIEMIECKIEGO W DNIU 22 PAŹDZIERNIKA 1934 R.

Obecni członkowie: pp.: A. Brudnicki, J. Dylewski, M. Garfinkiel, L. Gebert, K. Hulla, K. Kamieński, J. Krauze, A. Lewandowski, B. Przychodźko, J. Skrzypek, St. Skrzyński, L. Skulski, M. Słypiński, W. Szperling, W. Zabiełło oraz zaproszeni goście p. p.: W. Garczyński, J. Gieysztor, H. Knothe.

Porządek dzienny obejmował:

1. zagajenie i wybór Prezydjum;
2. sprawozdanie z dotychczasowej działalności;
3. sprawozdanie finansowe i ustalenie wysokości składek;
4. wybór członków Zarządu i Komisji Rewizyjnej;
5. wolne wnioski.

Posiedzenie zagaił tymczasowy prezes Zarządu p. Jerzy Dylewski, dziękując zebranym za przybycie i wyjaśniając genezę Klubu, który, obok istniejących Pointer- i Setter-Klubu, staje się koniecznością, biorąc pod uwagę wszechstronne zalety psa rasy niemieckiej w naszych warunkach. Następnie p. Dylewski podał do wiadomości zebranych, że dzisiejsze Walne Zgromadzenie jest pierwsze po legalizacji statutu Klubu.

Na przewodniczącego Zgromadzenia wybrano przez aklamację p. J. Skrzypka. Zkolei przewodniczący p. Skrzypek, dziękując za wybór, zaprosił na assesorów pp. W. Garczyńskiego, prof. J. Gieysztora, inż. H. Knothego i J. Krauzego, a na sekretarza p. M. Garfinkla.

Przed rozpoczęciem obrad p. min. Skulski skierował zapytanie do tymczasowego prezesa Klubu, czy nawiązał łączność z pokrewnemi organizacjami kynologicznemi w woj. poznańskiem i pomorskiem. P. Dylewski wyjaśnił, iż zwracał się do Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, które urządzało jesienne próby polowe i zaproponował urządzenie takich prób wspólnemi siłami w sezonie bieżącym, jednak odpowiedzi nie otrzymał.

Przewodniczący w krótkiem przemówieniu podniósł zasługi p. Dylewskiego, położone nad organizacją i powołaniem Klubu do życia, zaproponował złożenie podziękowania za dokonaną pracę, co zebrani jednomyślnie uczynili.

Przystąpiono do drugiego punktu porządku dziennego. Prezes Dylewski złożył sprawozdanie z działalności tymczasowego Zarządu. Zapomocą „Łowca Polskiego" p. Dylewski starał się pozyskać i zrzeszyć w Klubie jak największą ilość członków, co uwieńczone zostało pomyślnym rezultatem, gdyż pozyskał dotychczas 25 członków, oraz adresy całego szeregu kandydatów; zgromadzono akta kancelaryjne, zapoczątkowano dziennik korespondencyjny; wystosowano cały szereg listów, zebrano materjały, wzory projektu statutu, który po kilku komisyjnych zebraniach w ostatecznej formie złożono do legalizacji w starostwie. Statut zalegalizowany został dnia 6 sierpnia 1934 r., poczem w kilkudziesięciu egzemplarzach rozesłany był członkom i kandydatom.

Następnie p. Zabiełło odczytał sprawozdanie finansowe za okres organizacyjny do dnia 22 października 1934 r. Po stronie wpływów osiągnięto sumę zł. 162.—, po stronie wydatków zł. 66.35. Saldo w gotówce zł. 95. gr. 65 p. Zabiełło złożył do dyspozycji Walnego Zgromadzenia.

W dyskusji nad sprawozdaniem zabrali głos pp.: Krauze, min. Skulski, przewodniczący Skrzypek, gen. Skrzyński. Walne Zgromadzenie przyjęło do wiadomości sprawozdania pp. Dylewskiego i Zabiełły, poczem jednomyślnie uchwaliło tymczasowemu Zarządowi absolutorjum.

Po dłuższej dyskusji na temat wysokości składek członkowskich na przyszłość uchwalono pozostawić je bez zmiany, t. j. w stosunku rocznym zł. 6.—; wpisowe zł. 5.— również pozostawiono bez zmiany.

Nastąpiły wybory do Zarządu, które dały wynik następujący: na prezesa został wybrany p. Jerzy Dylewski, na skarbnika p. Józef Skrzypek, na sekretarza p. Matyas Garfinkiel; na członków Zarządu pp. Leopold Skulski i gen. Stanisław Skrzyński; na zastępców członków Zarządu pp. Józef Krauze i Mieczysław Soroko.

Do Komisji Rewizyjnej powołano pp. — Zygmunta Tarnowskiego, Wacława Szperlinga i Kazimierza Kamieńskiego; na zastępców członków Komisji Rewizyjnej — Edwarda Szyfelbeina i Bronisława Szybalskiego.

W wolnych wnioskach p. red. Garczyński zaproponował, aby Zgromadzenie poleciło Zarządowi opracowanie planu działalności na najbliższy okres, co po krótkiej dyskusji i wyrażeniu niektórych dezyderatów w szczegółach zostało uchwalone.

Na tem Walne Zgromadzenie zakończono.

CZYSZCZENIE BRONI ŚRUTOWEJ.

Winno odbywać się natychmiast po strzelaniu w sposób następujący:

1) przepchnąć przez lufę kulkę, zwiniętą z suchych pakuł lub waty, która musi szczelnie przejść, aby usunąć pozostałości po prochu;

2) nawinąć na metalowy koniec stempla pakuły, umoczyć w specjalnym smarze i czyścić lufę od brzega do brzega, zwracając specjalną uwagę na końce luf, t. j. przy komorze i pod czokiem;

3) po dokładnem oczyszczeniu zmienić pakuły i wytrzeć lufy na sucho;

4) jeżeli tak dokonane oczyszczenie nie wystarczy, należy użyć sztywnej szczoteczki szczecinowej, zmoczonej w smarze;

5) w ostatecznym razie — użyć szczotki z drutu bronzowego, również zmoczonej w smarze;

6) o ile lufy są zupełnie czyste, należy kawałek waty, zmoczonej w smarze, przepchnąć przez lufy i, jeżeli wata nie zmieni koloru, t. j. nie będzie na niej śladów brudu, można tak nasmarowaną broń pozostawić;

7) niezależnie od powyższego, na drugi, lub trzeci dzień trzeba zajrzeć do luf, czy nie wystąpiły plamy, co zdarza się bardzo często; wtedy należy czyścić nanowo, bardziej starannie, gdyż zwykle z najmniejszej plamki rdzewienie rozchodzi się po całej lufie.

Specjalny smar Polistol należy używać wyłącznie do czyszczenia i konserwowania luf wewnątrz.

Do czyszczenia i smarowania części metalowych broni należy używać specjalnej oliwy kostnej.

C. LISOWSKI.

DOBRE I ZŁE.

„Kurjer Wileński" z dn. 3 b. m. zamieścił artykuł znanego publicysty łowieckiego, p. Leopolda Pac-Pomarnackiego p. t. „O potrzebie zorganizowania handlu zwierzyną".

Temat opracowany jest pod kątem zainteresowań Wilna i właścicieli łowisk województw kresowych. Autor przedstawia stan dzisiejszy w odniesieniu do zbytu zwierzyny, pochodzącej z województw północno - wschodnich, podkreślając, że handel zwierzyną w Wilnie nie posiada cech zorganizowanej akcji, co, wobec stopniowego rozwoju hodowli zwierzyny i coraz większych jej ilości, mogących być dostarczanemi do konsumcji na rynek wileński, godzi w interesy zarówno dostawców-hodowców, jak i konsumentów.

Obecnie pomiędzy hodowcą a konsumentem stoi najczęściej trzech pośredników, bowiem zwierzyna jest dostarczana do sklepów przeważnie przez kłusowników, którzy sprzedają ją potajemnie przekupniom, od których dopiero nabywają zwierzynę sklepy. W tych warunkach ceny zwierzyny, po których zaofiarowana jest konsumentom, są wygórowane, a przez to samo zwierzyna staje się mniej dostępną ogółowi amatorów na nią.

W dalszym ciągu p. Pac-Pomarnacki nawołuje do zorganizowania bezpośrednich tranzakcyj pomiędzy hodowcami-ziemianami a kupcami i rozgranicza zwierzynę wschodnio-kresową na towar miejscowy (zające-szaraki, kuropatwy, kaczki i częściowo bażanty) i eksportowy do województw centralnych. Do tego ostatniego rodzaju zalicza gatunki rzadsze, których centralne połacie kraju nie posiadają wcale, lub w nieznacznej stosunkowo ilości (zające-bielaki, głuszce, cietrzewie, pardwy, jarząbki, słonki, bekasy), wskutek czego łatwo zyskałyby powodzenie handlowe.

Oceniając intencje p. Pac-Pomarnackiego, możemy dodać od siebie, że kupcy stołeczni bardzo chętnie widzą zrzadka nadsyłane z kresów północno-wschodnich partje ostatnio wymienionych gatunków zwierzyny, że nawet pierwszorzędne składy prowizji żywnościowej starają się usilnie o tę ozdobę ich witryn, a wśród publiczności kupującej dużo jest amatorów na te rzadkie przysmaki.

Z tego względu inicjatywa zorganizowania dostaw tej zwierzyny do większych miast województw centralnych i zachodnich spotka się niewątpliwie z dużem zainteresowaniem kupców i z łatwością może się utrwalić w dostawę ciągłą w poszczególnych sezonach, dostarczającą również właścicielom tamtejszych łowisk pewien stały dochód nie do pogardzenia.

Idąc za takiem rozważań autora artykułu o zorganizowaniu handlu zwierzyną północno - wschodnio - kresową, dodałbym od siebie, że dużem ułatwieniem w zrealizowaniu tego szczęśliwego projektu byłoby, gdyby zgrupowaniem dostawców i ułatwieniem im porozumienia z firmami miast centralnych i zachodnich zajęło się Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich, co nadałoby powagi zorganizowaniu takiego eksportu.

Towarzystwo Łow. Ziem Wsch. zyskałoby tą drogą dobrą sposobność wzmocnienia swych szeregów, stawiając za warunek pośredniczenia w tej sprawie zapisanie się każdego z dostawców na członka T-wa.

WUZET.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Kipling Rudgard: *„Druga księga dżungli"*. Przekład autoryzowany Józefa Birkenmajera. Poznań 1934. Wydawnictwo Polskie R. Wegnera. Stron 321, 4 nlb.

Współczesny znakomity pisarz angielski Kipling Rudgard (ur. 1865 r.) wzniósł się na szczyt wszechświatowej sławy głównie dzięki dwóm dziełom „Jungle Book" i „Second Jungle Book" t. j. „Księga Dżungli" i „Druga Księga Dżungli" (1894—1895). Obiegły one dosłownie świat cały, przełożone na wiele języków. Treścią ksiąg dżungli są arcywspaniałe opowiadania z życia zwierząt, które znał autor z własnej obserwacji.

Księgi dżungli zdobyły w Polsce olbrzymią popularność i poczytność: doczekały się aż czterech przekładów. Pierwszy przekład, dobry i wierny, to Józefa Czekalskiego, drugi Mianowskiego z ilustracjami prof. Witwickiego, szczególnie wiersze zasługują tu na uwagę; trzeci przekład, niezbyt ścisły, wyszedł z pod pióra F. Mirandoli. Czwartego przekładu dokonał poeta dr. Józef Birkenmajer, znany też czytelnikom „Łowca Polskiego" z dwóch interesujących artykułów p. t. „Wiadomość o Mikołaju z Hussowa" (Ł. P. Nr. 25/33 r.) i „Łacińskie łowy" (Ł. P. Nr. 27/34 r.).

Na łamach „Łowca" lwowskiego z roku 1932, strony: 260, 270, 284, 294, 307 oraz z roku 1933 str. 177 zamieścił poeta-tłomacz następujące wiersze z Drugiej Księgi Dżungli: „Pieśń młodego myśliwca", „Pieśń Mowgliego, złorzecząca ludziom", „Wilcza ustawa łowiecka" (w wydawnictwie Wegnera dał tłomacz tytuł „Prawo dżungli"), „Poranny hejnał wilków" (w wydawnictwie „Hejnał dżungli"), „Pożegnanie Mowgliego" (w wydawnictwie „Harce wiosenne"), „Rozejm wśród posuchy" (w wydawnictwie „Skąd się wziął strach"). W miarę jak postępowało tłomaczenie „Second Jungle Book", uległy też pewnym zmianom wiersze drukowane w „Łowcu", tak że dziś istnieje pewna różnica między niemi, a wierszami w wydawnictwie.



„Tytan" i „Maciuś". Fot. S. Mravincsics.

Przekład Birkenmajera zaliczyć należy do najwierniejszych, pozatem jest to przekład swoisty, oryginalny, podobnie jak poprzednie jego tłomaczenie „Pierwszej Księgi Dżungli", które spotkało się z entuzjastycznem przyjęciem krytyki i publiczności. Przekład „Drugiej Księgi Dżungli" charakteryzuje styl jasny i kwiecisty. Kulturalny czytelnik już po przeczytaniu kilkunastu stron nabiera przekonania, że tłomacz opanował doskonale język angielski, wczuł się całkowicie w myśl autora i oddał doskonale uczucia zwierząt Kiplinga, które myślą i porozumiewają się pomiędzy sobą zapomocą mowy, tworząc niejako jedno wielkie społeczeństwo „Dżungli".

Birkenmajer podchwycił nader udatnie wymowę zwierząt, a jej formę dźwiękową oddał zapomocą harmonji naśladowczej; nadto użył tu całkiem poprawnej terminologji łowieckiej.

Również i pod względem technicznym książka przedstawia się wytwornie. Kartę jej tytułową zdobi rysunek E. Czerpera. Całość przynosi chlubę zasłużonej firmie Wydawniczej R. Wegnera.

Ossendowski F. Antoni: *„Polesie"* Wydawnictwo Polskie R. Wegnera. Poznań 1934. Stron 206, 2 nlb.

„Któż zrówna na świecie
myśliwskiej swobodzie".

(A. Barthels: Tydzień Poleski).

Polesie! Polesie! słowo magiczne i czarodziejskie dla każdego myśliwego; kto je raz zobaczył, brodząc po zarosłych bagnach z dubeltówką w ręku — ten już część duszy pozostawił wśród oczeretów, mszarów i lasów poleskich. Kto pożegnać musiał czar kniei i trzcin, rozsiadłych w zadumie gdzieś tam, w okolicach kanałów Ogińskiego i Królewskiego, nad Jasiołdą, Piną, czy też Łanią, wśród trzęsawisk Zarzecza, Moroczna, bagien Hryczyńskich, czy Petrykowskich — ten stęsknioną myślą powracać będzie aż do ostatnich dni swoich w tę krainę smutku, wiecznych tajemnic i wiecznych rozkoszy łowieckich.

Polesie to kraj zagadkowy, dostarczający bezliku tematów. Wielu pisarzy dotykało tego niezmiernie wdzięcznego i zawsze nowego zagadnienia. A któż policzy opisy poleskich polowań, rozproszone na pożółkłych kartach różnych pism perjodycznych, łowieckich i niełowieckich? A któż odgadnie ile notatek i opisów łowieckich z błogosławionych terenów poleskich tkwi w zapomnieniu po zaściankach, domach, dworkach i pałacach— nigdy nieogłaszane. Oby wypłynęły na światło dzienne! Koniecznie, jak najrychlej, bowiem historja łowiectwa polskiego zamknięta jest w szufladach, w prywatnych domach.

Znakomity podróżny i pisarz polski F. A. Ossendowski dał

społeczeństwu dzieło piękne, w którem utopił część swego serca. Jest to „Polesie", które obecnie opuściło prasę. Wspaniały dar dla ojczystej literatury krajoznawczej, prawdziwa biesiada dla etnografa, porywający żywioł dla przyrodnika, czarowna melodja dla tych z pod sztandaru św. Huberta, którzy choćby raz tylko zawędrowali w tę przepiękną i pociągającą krainę, z nabojami w torbie borsuczej.

Oto rozdziały tej książki: Nieznany kraj. — Dawne echa. — W zimowej szacie. — W rozlewie wód — Lato poleskie. — Poleszuk w swoim żywiole. — Kacze państwo. — Chutor, rola, pastwisko i rzemiosło. — Wiara i wierzenia. — Ruś, Pogoń i Orzeł Biały. — Żłobienie duszy. — Wielka przemiana. — Słownik.

Z krainy tej „przeciętej setkami rzek, obwarowanej trzęsawiskami i mokradłami, porosłej sitowiem, wonnym „ajerem", gąszczem wiklin i wierzb", pełnej wodzianików, wodnic-rusałek, topielic, wiedźm, wilkołaków i innych złych duchów — wyjmuję częściowo to, co myśliwego przedewszystkiem zaciekawia: zwierzostan i kłusownictwo. Łoś, niedźwiedź, sarna, wilk, dzik, lis, zając, bielak, ryś, wydra, kuna, tchórz i bezmiar ptactwa leśnego, błotnego i wodnego, to mieszkańcy lasów, bagien, łąk i jezior poleskich, to cel wypraw Poleszuka, tego samotnego łowca, prawdziwego człowieka leśnego. Piechotą przekrada się poprzez oparzeliska, zarośla, jakby sznurem powiązane, albo też wsiada do „szuhalei", czy też „duszehubki" i cicho, jak ten duch nocny, sunie wodami po pewną zdobycz: zwierzynę czworonożną, ptaka, czy też rybę. „Błąkając się w kniei od zarania swego życia, Poleszuk poznał ją, wczuł się w nią, i połączył duszę swoją z jej tajemniczem bytowaniem". I stąd Poleszuk jest specjalnie groźnym kłusownikiem. „Toteż nic się nie ukryje przed Poleszukiem, kluczącym niby wilk po haszczach i rozległych hałach" — pisze autor. A dalej czytamy:

„Uzbrojony w siekierę i tęgi kij, przypominający najstarszą broń ludzką — maczugę, lub w oszczep, rzadziej w widły i kurkową strzelbę o jednej długiej lufie, drutem przymocowanej zgruba do brzozowej kolby", znika bez szmeru w zaroślach." Ten to wszystko widzący, niedościgniony łowiec „podchodził" niegdyś wędrujące tu samotne żubry z Białowieży, a gdy ziemia ta została bezpańską — w rok niespełna wytępił je co do nogi, z zasadzki śląc w kosmate cielska legendowych „turów" przez się laną kulę, zawsze nieomylną. Poleszuk lepiej od Indjan kanadyjskich umiał wyszukiwać żeremia bobrowe i zdobywać te rzadkie, szaro - płowe, mądre gryzonie".

Polesie to kraina wabiarzy. Nikt lepiej nie zwabi łosia, lisa, czy jarząbka, jak Poleszuk. Nikt nad Poleszuka nie potrafi tak zaczarować strzelby, aby biła celnie i śmiertelnie. Poleszuk obcuje z przyrodą od dzieciństwa i już od tego najmłodszego okresu życia staje się utrapieniem dla stworzeń. Ossendowski tak pisze: „Na wiosnę chłopaki kluczą po moczarach, szukając gniazd, wybierają jajka kaczek i czajek, w czerwcu zaś — ich pisklęta, zaledwie fruwać umiejące. Nie ukryje się przed małymi drapieżcami żadne gniazdo, ani dziupla, gdzie zagnieździły się „polatucha", wiewiórka i pszczoły, ani też choćby najlepiej osłonięty w haszczach lęg zajęczy". Trudno tu przytaczać wszystkie „ustępy łowieckie", należałoby bowiem wówczas powtórzyć znaczną część książki.

Ossendowski poznał Polesie dokładnie, a myślistwo i strzelba są mu też znane. Kreśli więc obrazy wiernie i wyraźnie. Sięgnął też do niejednego źródła, szkoda tylko, że ich nie wymienił.

Książka zasiana jest fotografjami. Naliczyłem ich 264, z tego 41 fotografij wybitnie myśliwskich. Wszystkie zdjęcia, bez wyjątku, są bezkonkurencyjne. Dostarczyli ich między innymi: Izabella ks. Radziwiłłowa z Mańkiewicz, Photo - Plat, H. Poddębski, J. Bułhak, Ministerstwo W. R. i O. P., M. Rodziewiczówna, Politechnika Warszawska, Z. Chomętowska i inni.

Na czele książki położył autor motto Aleksandra Fredry: „To Polska — to ojczyzna nasza". Wielobarwną okładkę wykonano według obrazu Leona Wyczółkowskiego.

Wspaniała szata zewnętrzna książki, pełna wykwintnego smaku, idzie w parze z sumienną, wszechstronną i w piękny styl ujętą treścią, tworząc w całości prawdziwe dzieło.

Kulturalny świat łowiecki wita „Polesie" jako swe bratnie wydawnictwo.

„Polen ladet sie ein". Reisebüro Orbis. Warszawa, 1934. Stron 103, 2 nlb.

Jest to broszura propagandowa, wydana specjalnie dla Niemców przez Polskie Biuro Podróży w Warszawie. Bezsprzecznie Polska potrzebuje propagandy i to silnej nawet, by wreszcie obcy ludzie „kulturalni", korespondujący z zagranicą, nie szukali Warszawy w Rosji. Również i łowiectwo polskie nie rezygnuje z reklamy, ale niechże ta reklama, czy propaganda, będzie prawdziwą, niech zagranicę orjentuje, a nigdy naodwrót, gdyż, jak wspomniałem, zagranica, jak dotąd, jest wystarczająco zdezorjentowana, o ile chodzi o Polskę.

W wydawnictwie „Polen ladet sie ein" (Polska zaprasza do siebie) znajdujemy rozdział „Jagden in Polen" (Polowania w Polsce), a w nim następujące jesienne kwiatki: autor informuje cudzoziemców, że polowania na sarny-kozły odbywają się w lipcu i sierpniu i szczególnie dobre wyniki dają na zachodzie kraju, czego dowodem jest choćby ten fakt, że Dyrekcja Lasów Państwowych przeznacza corocznie około 2.000 kozłów do odstrzału. Gdyby autor mniej był pewny swych „fachowych" wiadomości i wziął do ręki jeden z ostatnich numerów „Łowca Polskiego", byłby się dowiedział, że polowanie na sarny-kozły trwa osiem, a nawet osiem i pół miesiąca, a nie dwa, jak pisze z rozmachem, wyczytałby też, że właśnie w województwie poznańskiem i pomorskiem jest polowanie na kozły od dwóch lat zamknięte. Również polowanie na kuropatwy trwa w Polsce dwa i trzy miesiące, a nietylko w jednym miesiącu wrześniu. Mówiąc o łosiach objaśnia autor, że rozmnożyły się one szczególnie w lasach państwowych koło Wilna i to tak dalece, że w najbliższych latach trzeba będzie się liczyć z normalnym odstrzałem. O łosiach radziwiłłowskich ani słowa! Autorowi nic nie jest wiadomem, że Ministerstwo Rolnictwa daje już od kilku lat pozwolenia indywidualne na odstrzał pojedyńczych sztuk łosi. Nie rozumiem także skąd ta wiadomość, że bielaka poza Polską nie spotka się nigdzie we wschodniej Europie; ma go przecież Łotwa i północna Rosja.

Również cyfra 500 żubrów w Białowieży do roku 1915 nie jest ścisła, bowiem według Neverlego było 1914 roku żubrów 737, a „Hohe Jagd" podaje ich tylko 727 sztuk. Wystarczający to chyba zupełnie bukiet wonnych kwiatków myśliwskich, a tem więcej, gdy sobie uzmysłowimy, że cały rodział „Jagden in Polen" liczy 102 wiersze. Fotografij myśliwskich jest dziewięć, a wśród nich aż trzy z rysiami, w tem dwie bez wartości, gdzie układ zwierza, z głową podpartą patykami — nie może zachwycać cudzoziemca. Podpis „Polowanie na głuszce" wymaga uzupełnienia, gdyż na tej fotografji na pierwszym planie leżą bekasy, a w drugim dopiero rzędzie głuszce. Brak natomiast fotografji łosia, niedźwiedzia, jelenia. A chyba temi potentatami borów i grzęzawisk naszych należało się pochwalić przedewszystkiem.

Tak to bywa, gdy się chce powiedzieć więcej, aniżeli się wie. A efekt tego taki, że wówczas idzie zagranicę artykuł „Jagden in Polen", pod którym żaden szanujący się myśliwy, nie złoży podpisu. I dziwić się należy, że wydawca, czy też autor, nie uznał za stosowne polatygować się do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich po aprobatę swego wypracowania. Tyko pięć minut drogi tramwajem, a dwanaście piechotą, a zapewniam, że podróż byłaby ochroniła „Orbis" przed tak grubemi pomyłkami, które od biedy możnaby przebaczyć kalendarzom, lub też bezimiennym broszurom, sprzedawanym w budach jarmarcznych, lecz nigdy w wydawnictwie o poważnym zakroju, rzucanem na rynek zagraniczny w specjalnym celu prawdziwej informacji.

Jakby na dobitek tej myśliwskiej kalamancji czytamy takie słowa: „Freunde des Weidwerkes erhalten in allen, die Jagd betreffenden Angelegenheiten im Reisebüro „Orbis" kostenlose Auskünfte" W polskiem tłomaczeniu brzmi: „Przyjaciele myślistwa otrzymają w sprawach polowania b e z p ł a t n e informacje w Biurze Podróży „Orbis".

Dziękuję. Co za skromność! „Bezpłatne informacje..." W tym wypadku dobre imię łowiectwa polskiego ratuje fakt, że zainteresowani Niemcy znają dokładnie organizację łowiectwa i po przeczytaniu „Jagden in Polen" napewno nie pójdą po informacje na ulicę Ossolińskich 8.

Barba non facit philosophum *) — a zając od braci Pakulskich nie uczyni nikogo myśliwym.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

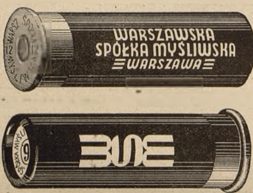
*) Broda nie czyni filozofem.

NAJNOWSZY NABÓJ ŚRUTOWY.

W Nr. 20 „Łowca Polskiego" zamieszczony był artykuł p. t „Warszawska Fabryka Amunicji", w którym podany został opis maszynowej fabrykacji nabojów śrutowych i historji rozwoju tej fabrykacji, podjętej w 1926 r. przez „Warszawską Spółkę Myśliwską", której ta wytwórnia stanowi własność.

Podkreślono tam również, że dotychczas osiągnięte wyniki techniczne przy wybitnej pieczołowitości o to kierownictwa fabryki i nieustannych wysiłkach pod względem ciągłego udoskonalania wypuszczonego na rynek produktu, dają rękojmię myśliwemu — konsumentowi, że z całą ufnością używać może nabojów śrutowych maszynowej wytwórczości „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej".

Obecnie mamy do zanotowania fakt wypuszczenia przez tę firmę na rynek nowego naboju śrutowego, ładowanego doskonalemi prochami bezdymnemi Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach. Nowy nabój został podobnie wykonany, jak produkt dotychczasowy, lecz posiada ważne udoskonalenia w zakresie techniki konstrukcyjnej, a także pod względem zewnętrznej szaty.



Zewnętrzny wygląd naboju przedstawia się nader estetycznie: nie posiada żadnych zbędnych napisów, mających informować o głównych częściach składowych naboju, co podane jest jedynie w nadruku na opakowaniu; kolor łuski wybrano ciemny bordo i umieszczono na łusce jedynie nadruk firmy, czcionkami o ładnym, oryginalnym rysunku oraz z przeciwnej strony dobrze i estetycznie pomyślany i związany monogram firmy: W. S. M.

Nowy nabój „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej" został przygotowany na sezon zimowo-zajęczy.

WŁ. Z.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet—). Niedawno w rewirze Łosie lasów nawojowskich Adama hr. Stadnickiego postrzelony został loftkami w brzuch gajowy Adam Schütz.

Ranny dowlókł się o własnych siłach do wsi, skąd natychmiast został przewieziony samochodem do szpitala. Pomimo bezzwłocznie dokonanej operacji, podczas której stwierdzono ośmiokrotne przedziurawienie jelit, Schütz na trzeci dzień zmarł. Pogrzeb odbył się przy udziale właściciela dóbr i całego personelu leśnego.

Dochodzenie śledcze, które jest w toku, nie wykryło dotychczas nazwiska zbrodniarza, jednakże wszelkie poszlaki przemawiają za tem, że jest nim jeden z tych, którym Schütz na kilka dni przed zbrodnią odebrał broń, przyłapawszy ich na kłusownictwie.

Cześć pamięci ofiary obowiązku.

UBEZPIECZENIE STRAŻNIKA ŁOWIECKIEGO OD NASTĘPSTW WYPADKÓW NA SUMĘ ZŁ. 3.000 NA WYPADEK ŚMIERCI ORAZ ZŁ. 4.500 NA WYPADEK STAŁEGO KALECTWA KOSZTUJE ROCZNIE TYLKO ZŁ. 31 GR. 20.

(—zet—). „Goniec Nadwiślański", wychodzący w Grudziądzu, podaje, że zamieszkali we wsi Parski bracia: Józef, Antoni i Franciszek Wiśniewscy wybrali się na polowanie podczas wylewu Wisły na teren łowiecki w okolicy Parsk.

„Nemrodzi" wykorzystali okoliczność, że większa część terenu znajdowała się pod zalewem, wskutek czego zwierzyna poukrywała się na kępach, wystających nad jego powierzchnią, urządzając tam polowanie na zające, które łapali żywcem, lub zabijali kijami.

Sąd grodzki w Grudziądzu skazał wszystkich trzech braci Wiśniewskich na zapłacenie po zł. 100.— grzywny.

(—zet—). W pierwszych dniach b. m. w Dolinie Szczurowiec powiatu złoczowskiego miał miejsce napad bandycki na przejeżdżającego lasem kupca Markusa Meisnera. Zamaskowany napastnik, który wyszedł z gęstwiny leśnej, pod groźbą rewolweru zrabował Meisnerowi kilkadziesiąt złotych i towary.

Po oddaleniu się bandyty z łupem poszkodowany wszczął alarm, na który nadbiegło dwóch tamtejszych gajowych, Jan Czasnysz i Piotr Zachyłko, i zaczęli ścigać rabusia.

Podczas pościgu bandyta, który uprzednio ukrył się w zaroślach, wystrzelił do gajowego Zachyłki, kładąc go trupem na miejscu.

Dotychczas zabójcy nie udało się ująć, pomimo energicznych poszukiwań z udziałem tajnych wywiadowców. Istnieje przypuszczenie, że napastnikiem był jeden z okolicznych kłusowników, który, idąc na nocną „robotę" w miejscowych lasach, skorzystał mimochodem z łatwego łupu, a następnie dokonał krwawej zemsty na Zachyłce, z którym miał dawniejsze „leśne porachunki".

(—zet—). Gajowy dóbr Oszaków, gminy Koźminek, ziemi kaliskiej, Józef Fabus przyłapał na gorącym uczynku kłusownictwa na bażanty Stanisława Olczaka, który niósł zabite cztery sztuki tych ptaków i na wezwanie nie chciał oddać broni ani łupu.

W rezultacie pomiędzy gajowym i kłusownikiem wywiązała się gęsta strzelanina, wskutek której Olczak został trafiony w nogę i okolicę oka. Jakkolwiek postrzały okazały się lekkiemi, kłusownik poddał się i odprowadzony został przez Fabusa na posterunek policji, gdzie sporządzono odpowiedni protokół.

UBEZPIECZENIA PRZYJMUJE I INFORMACYJ UDZIELA SEKRETARJAT POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH, WARSZAWA, NOWY ŚWIAT NR. 35, TEL. NR. 666-15.

(—zet—). W okolicy Stryja (Małopolska Wsch.) w swoim czasie popełniono skrytobójcze morderstwo na osobie gajowego okręgu leśnego Huta bar. Groedlów.

Po długich poszukiwaniach zbrodniarza, za wykrycie którego właściciele terenu wyznaczyli 500 zł. nagrody, udało się policji odnaleźć go. Mordercą okazał się znany kłusownik Ilko Mikulczyn z Orawczyka.

Wraz z dowodami winy odstawiono go do Stryja do dyspozycji sędziego śledczego.

Rubryka kłusownictwa, dość dawno już wprowadzona na nasze szpalty, nigdy nie choruje na brak materjału kronikarskiego, który szereguje coraz więcej wypadków utraty życia, lub doznanego kalectwa przez funkcjonarjuszy, pełniących ochronę zwierzostanów.

Podajemy te wszystkie wypadki kłusownictwa, o których wiadomości nadsyłają nam bezpośrednio nasi czytelnicy, lub delegaci powiatowi, częstokroć czerpiemy je również z prasy prowincjonalnej całego kraju.

Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że tylko część wydarzeń dochodzi do wiadomości naszej redakcji, jak również, że niektóre tylko fakty notowane są przez dzienniki.

Oczywiście, nie dla zapełnienia miejsca prowadzimy rubrykę kłusownictwa w „Łowcu Polskim". Zadaniem naszem jest stworzenie stałego źródła informacyjnego i przestrzegającego, a zarazem upominającego wszystkich gospodarzy łowisk, własnych

i dzierżawionych, jak daleko poza zwykłe granice nierozwagi sięga ich lekceważenie szerzącego się nieustannie i w coraz większym stopniu kłusownictwa w stosunku do podwładnych im funkcjonarjuszy łowieckich.

Ani ciężkie czasy, ani brak gotówki nie może stać się usprawiedliwieniem nieubezpieczania tych funkcjonarjuszy na wypadek śmierci lub kalectwa. Jest to najkardynalniejszym obowiązkiem korzystających e ich usług właścicieli łowisk, którzy ponoszą moralną odpowiedzialność za los ich rodzin.

WŁ. Z.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Na polowaniu, odbytem w dniu 27 października r. b. w dobrach Willanowskich, w leśnictwie Kabaty, ubito w 14 strzelb: 233 zające, 4 króliki, 35 bażantów, 3 kuropatwy, 1 słonkę i 5 jastrzębi. Najwięcej na rozkładzie miał Dostojny Gość Hr. Branickich, Pan Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Ignacy Mościcki: 31 zajęcy, 4 bażanty i 1 jastrzębia.

S. Ż.

(—sm.—). Dnia 5 listopada r. b. odbyło się polowanie w maj. Czarnolas (pow. kozienicki) u pp. Antoniostwa Jełowickich. W kilka strzelb ubito 50 zajęcy i kilkanaście kuropatw. Najwięcej na rozkładzie miał p. Jerzy Piotrowski z Junoszówki. Zwierzostan dobry. Gościnność staropolska.

— Na zwykłem jesiennem polowaniu w dniach 27 i 28 X b. r. na terenach Gościeradowskiego Kółka Myśliwskiego ubito: 9 dzików (w czem 4 odyńce i jeden dobry wycinek), 10 lisów i 3 słonki. Najwięcej zabił p. minister W. Staniszewski (3 dziki i 2 lisy).

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; najmniejsze ogł. — 1 zł.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.